Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 37 | Wtorek 1, grudnia, 1942 | Cena (Price) 1/-

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

IN AETERNUM

PRAGNĘ tu dziś pożegnać dwu kolegów, z którymi pożegnałem się już raz, we Lwowie, esienią 1939 roku. Dziś uczynię to na nieco dłużej. Tymi dniami, po długiej niewierze, uzyskaliśmy niestety pewność już, że od nas odeszli. Długo mieliśmy jeszcze iskierkę nadziei, że się przecież gdzieś, na szerokich przestworzach Rosji, odnajdzie sędziwy profesor Stanisław Głąbiński. Długo odmawialiśmy wiary niejasnym wieściom o rozstrzelaniu młodego, w pełni sił będącego prezesa Kazimierza Kowalskiego. Dziś wypada nam uchylić głowy przed oczywistością i pochylić się karnie nad pamięcią tych dwu, tak bardzo od siebie różnych, a tak niezmiernie w swej ofiarności podobnych kolegów.

* * *

Nie zamierzam podawać tu naukowej oceny i przeglądu prac Stanisława Głąbińskiego. Uczynią to inni, fachowo mu bliżsi, wtedy, gdy będzie można rozporządzać datami i danymi, których dziś na londyńskiej obczyźnie zebrać niesposób. Jest to żywot tak plenny, tak po brzegi wypełniony różnolitą działalnością, że stanie się on kiedyś przedmiotem opracowania monograficznego. My dziś możemy tylko z lotu ptaka przebiec pamięcią jego rozpiętość i wdzięcznym sercem przypomnieć wielkie miejsce, jakie ten człowiek przez tak długo w naszym ruchu zajmował.

Główną, napewno najrdzenniejszą, cechą Głąbińskiego była jego żelazna pracowitość w wielu różnych dziedzinach. Zróśłszy się najściślej ze swą dzielnicą, z Ziemią Czerwieńską, sięgnął poza nią swą działalnością, obejmując swą pracą w Sejmie galicyjskim cały zabór austriacki, a swą pracą w parlamencie wiedeńskim całość nieraz sprawy polskiej, a też i zahaczając tam o całość zagadnienia słowiańskiego w monarchii naddunajskiej, które monarchię tę, w przededniu Wielkiej Wojny, miało niebawem rozsadzić. Jako prezes wiedeńskiego Koła Polskiego i jako austriacki minister kolei, miał głos wybitny. Nie dziś pora na charakterystyzowanie tego odcinka prac Głąbińskiego, o wartości dziś już tylko historycznej. Ważniejsze będzie stwierdzić, że całość tej działalności politycznej przed Wielką Wojną obejmował Głąbiński, we Lwowie i w Wiedniu, uzbrojony w rozwagę i śmiałość, w szerokość horyzontów i w pion przekonaniowy, w giętkość polityczną i w twardą polityczną postawę, jakie posiadał dzięki swej pracy w Stronnictwie Demokratyczno-Narodowym, którego stał się organizatorem i pionierem na ziemiach zaboru austriackiego. U początku naszego wieku, wtedy, gdy Liga Narodowa pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, postanowiła była przystąpić do jawnej działalności we wszystkich trzech zaborach pod postacią Stronnictwa Demokratycznego-Narodowego, Głąbiński stanął właśnie na jego czele w Galicji. Stronnictwu temu, dzisiejszemu Stronnictwu Narodowemu, wiernym pozostał aż do ostatniego tchu.

Praca polityczna była zawsze dla niego podszyta pracą społeczną. Nazwisko Głąbińskiego splotło się ściśle z walką o polskość Uniwersytetu Lwowskiego, z Towarzystwem Szkoły Ludowej, którego był stałe członkiem Zarządu za prezesury zasłużonego Ernesta Adama, z pracami wreszcie i dyskusjami około t. zw. włości rentowych, dążących do stworzenia racjonalnych i niepodzielnych gospodarstw chłopskich, oraz wielu innymi poczynaniami nad podniesieniem gospodarczym kraju i społeczeństwa polskiego.

Po Wielkiej Wojnie działalność polityczna Głąbińskiego przeniosła się do Warszawy, zawsze promieniując ze Lwowa, jako ze stałej i głównej siedziby. Jako krótkotrwały minister Spraw Zagranicznych w rządzie Swieżyńskiego, a następnie jako minister oświaty w Gabinecie Witosa, wreszcie jako członek Izby Posłów i Senator Rzeczypospolitej, Głąbiński miał okazję podwojenia swego doświadczenia politycznego, a też i poznania na wylot możliwości i niemożliwości polskiego życia politycznego.

Równolegle i to przez całe życie, pracował naukowo jako profesor ekonomii na Uniwersytecie Lwowskim. *British Museum* posiada jedynie — ciekawe to i znamienne — jego prace młodzieńcze. Wymienię tu ich tytuły, gdyż wytyczają one zainteresowania, które przez całe życie autor zachowa:

O systemie fizjokratów w ekonomii społecznej — Sambor, 1888.
Pojęcie nauki skarbowej — Sambor, 1889.
Waluta w Austrii i dążenie do jej reformy — Lwów, 1890.
Idea samodzielności a finanse Galicji — Lwów, 1902.
Zamach na uniwersytet polski we Lwowie — Lwów, 1902.
Ludność polska w Galicji Wschodniej — Lwów, 1903.

Wszystkie zainteresowania długiego życia Głąbińskiego widnieją w tych młodzieńczych tytułach: teoria i historia gospodarcza, obrona samodzielności polskiego życia gospodarczego, obrona stanu posiadania ludności i kultury polskiej.

Do dzieł tych przybędą obszerniejsze opracowania, nad jakimi pracował autor aż do lat ostatnich przed wojną, a więc WYKŁAD EKONOMIKI, a więc DZIEJE EKONOMIKI w dwu tomach, z których pierwszy obejmuje historię Ekonomii Politycznej w ogóle (tu znów fizjokraci francuscy mają jeden z najlepszych rozdziałów), zaś tom drugi poświęcony jest wręcz pionierskiej pracy nad historią polskiej myśli gospodarczej.

Pod sam, jak zdawać się mogło, koniec życia, Głąbiński pracował nad swymi Pamiętnikami. Przygotował je lat parę, materiały miał olbrzymie. Nie raz mi o nich w czasie ich przygotowywania do druku wspominał. Miał z nimi kłopoty, m. in. trudności z drukowaniem wielu rzeczy odnoszących się do pomajowego systemu. Ale był to człowiek gołębiego serca . . . Wiele materiału pozostało poza książką.

Wydawało mu się, że przedstawił w tym pamiętniku całość swego życia. Zawarł on istotnie wszystko — prócz końcowej tragedii, wyjścia ze Lwowa, aresztowania, więzienia bolszewickiego i wywiezienia, wygnania, śmierci w Charkowie, latem 1941 roku. Kto zdoła ten pamiętnik uzupełnić??

Z tej bogatej działalności Głąbińskiego wychyla się ku nam człowiek mądry, wytrawny, gorącego ale i gołębiego serca, wielkiej pracowitości. Parę wybijających się rysów warto wyodrębnić i zapamiętać — gwoli nauce i narodowej wskazówce.

Na czoło wysuwa się zagadnienie stosunku do obcych. Głąbiński miał dużo okazyj spotykania się z ludźmi we Wiedniu, gdzie miał do czynienia z politykami austriackimi, począwszy od samego cesarza a skończywszy na ministrach, posłach i dziennikarzach. Był kimś we Wiedniu, ministrem i, przede wszystkim, prezesem wpływowego, często decydującego Koła Polskiego w Parlamencie. Cechowała go zawsze we wszystkich rozmowach *godność* Polaka, za którego uśmiechem stoi mocna, niewzruszona postawa, jaka się w uśmiechu rozpłynąć nie zdoła. W sierpniu 1914 roku, już po wybuchu wojny, minister Spraw Zagranicznych Berchtold żąda od niego wiadomości, kiedy zacznie się powstanie polskie w Kongresówce? "Jakie powstanie?

— pyta Głąbiński, powstania polskiego w ogóle tam nie będzie !" Nie on obiecywał powstanie i nie on weźmie odpowiedzialność za jego brak. Głąbiński przemawiał tu jako wykonawca decyzji Ligi Narodowej, która postanowiła była głosami wszystkich trzech zaborów poprzeć przeciwniemiecką Ententę. Nie omieszkał jednak Głąbiński przytem zapytać Berchtolda w tej samej rozmowie, jakie to obietnice, zapewnienia polityczne i gwarancje daje Austria narodowi polskiemu w sprawie niepodległości. Okazało się, że Austria żadnych gwarancyj dać nie chce, więc też już żadnych i najmniejszych wątpliwości być nie mogło. I w strategii i w taktyce politycznej był Głąbiński wielkością dużej miary. Ten sam też Głąbiński, po Traktacie Brzeskim, odeśle Wiednowi wszystkie odznaczenia, jakie posiadał.

W stosunku do Czechów — zagadnienie to dziś raczej palące — miał Głąbiński pojęcia niezmiernie jasne. Odczuwał braterstwo z nimi, ile razy chodziło o walkę z Niemcami. Na pomoc ich, gdy chodziło o obronę przeciw zaborczości Rosji — nie liczył. Czesi więc byli dla niego przyjacielem połowicznym. Głąbiński był wielkim realistą w polityce.[1])

Ukraińców znał z konieczności bardzo dobrze. Tym znamienniejsza była jego surowa ocena metod sanacyjnych wobec tego problemu. Raz pozwalano na wszystko, biernie patrzono na przechodzenie własności polskiej w ręce ukraińskie, otaczano opieką tężenie sprawności gospodarczej Ukraińców na niekorzyść Polaków; kiedyindziej znów stosowano osławioną "pacyfikację", najsurowiej przez polską opinię potępianą. Metody takie mogły ludność ruską doprowadzić do stanu białej gorączki. Wytrawność jego politycznego sądu sprawiła, że Głąbiński cieszył się niewątpliwym respektem swoich ukraińskich przeciwników.

W stosunku do innych stronnictw polskich gotów był zawsze do współpracy w chwilach narodowego niebezpieczeństwa. Ale był i tu pozbawiony złudzeń. Nie mieszał pojęć: współpraca dla wspólnego wyższego celu, ale nie zapominał o fakcie, że ma się do czynienia z przeciwnikiem politycznym.

Przeciwników lubił zdefiniowanych. Wiedział kim jest socjalista. Nie zawsze wiedział kim jest ludowiec. Raczej wiedział, kim jest piastowiec. Z Witosem był zawsze gotów pracować, nawet w epoce rządu lubelskiego, po której istotnie doszło do dłuższej współpracy narodowców z ludowcami.

W ramach własnego stronnictwa, tego wytrawnego starego polityka cechował niezmiernie ujmujący rys miłości i rozumienia młodych.

[1]) Nie zaszkodzi tu zresztą przypomnieć, iż w procesie Kramarza o zdradę stanu wytoczonym temu wybitnemu politykow czeskiemu przez Austriaków w czasie wojny światowej, korespondencja i zeznania Głąbińskiego przyczyniły się do złagodzenia atmosfery i zawieszenia wykonania wyroku śmierci. W czasie rewizji u Kramarza policja austriacka znalazła cytaty z listów Głąbińskiego do Dmowskiego zawierające pogląd, iż Polacy w Dumie rosyjskiej nie powinni potępiać ówczesnej aneksji Bośni i Hercegowiny przez Austrię, gdyż opinia słowiańska w Austrii sądzi, że oba te kraje słowiańskie tylko zyskają na przejściu z pod rządów wojskowych gubernatorów austriackich pod administrację i samorząd cywilny gwarantowany konstytucją. W rezultacie Kramarz doczekał się upadku Austrii i powstania wolnej Czechosłowacji.

Ze swego długiego doświadczenia politycznego wyciągał Głąbiński jako wskazówkę może najgłębszą przekonanie, iż stanowczo nie warto walczyć z młodymi. Nie warto dla tego prostego powodu, iż, w miarę jak się samemu schodzi z pola, młodzi przestają być młodymi, ale pozostają na placu. Więc poco ?

Oczywiście nie wynikało z tego ani trochę, aby Głąbiński nie walczył o *młodych*. Pajdokracja i demagogia były mu narówni obce. Jako prezes Zarządu Okręgowego S.N. we Lwowie, miał przez całą swą ostatnią część życia wciąż z młodymi do czynienia, i nie raz miał do załatwienia tarcia i zatargi, nie raz nie szczędził krytyki, nie raz bywał niezadowolony. Jednego tylko nie znosił: podania w wątpliwość ideowości tej młodzieży, jej ofiarności i jej zdolności do poświęceń.

Symbolem tego żarliwego przywiązania do młodzieży był stale powtarzający się we Lwowie w dniu Trzeciego Maja widok Stanisława Głąbińskiego, z odkrytą siwą głową, kroczącego na czele licznych szeregów narodowej młodzieży akademickiej, oraz grup Stronnictwa Narodowego z miasta i powiatu lwowskiego, przewyższających swą liczebnością i postawą wszystkie inne grupy i organizacje. Oklaski, które wtedy się zrywały przy końcu ulicy Łyczakowskiej, szły poprzez tłumy lwowian wzdłuż ulicy Czarnieckiego, placu Bernardyńskiego i Halickiego aż na Wały Hetmańskie pod pomnik Sobieskiego. Cały Lwów kochał Głąbińskiego . . .

Tak się zdarzyło, że z obecnych tu na bruku londyńskim rodaków, piszący te słowa widział Głąbińskiego ostatni. Całą przeraźliwą jesień 1939 roku przebyliśmy razem i razem przeszli trzy miesiące pierwsze bolszewickiej okupacji. Głąbiński był zdecydowany na przejście granicy i próbę przedostania się do Francji. Błagaliśmy go, by tego nie robił ze względu na wiek podeszły i zbliżającą się osiemdziesiątkę. Nie dał się uprosić. Nie zapomnę głębokiego spojrzenia, z jakim mi mówił: "Skrzywdzą mi Lwów i Małopolskę Wschodnią. Muszę jechać . . ."

Przed odjazdem spisał i zostawił testament polityczny, przeznaczony na pierwsze chwile powojenne. Przestrzega tam i zaklina. Nie dowierza ludziom i hasłom. Na równi z całą opinią Lwowa nie mógł darować ludziom ówczesnego reżimu, którzy uszli z Polski z władzami, kraj zostawiając na łasce wroga. Na równi z całym Lwowem, z sądu tego wyjmował generała Sosnkowskiego za jego bitwę pod Gródkiem, dzięki której Lwów się Niemcom nie dostał.

Na dwa dni przed odjazdem w tę dal, z której nie miał wrócić, przystąpił do Sakramentów, a potem nikogo już widzieć nie chciał. Ostatnią we Lwowie rozmowę prowadził z Panem Bogiem.

Umarł w szpitalu charkowskim dnia 21 sierpnia 1941 roku.

*

Kazimierz Kowalski był typem wręcz innym, równie bezkompromisowego narodowca. Łączyła ich jedynie ta bezkompromisowość.

Młody człowiek, zginął nie dawszy swej miary. Ogarnięty na zawsze ideą narodową, już na Uniwersytecie poznańskim przeszedł przez Obóz Wielkiej Polski. Osiadł w Łodzi, i tam zasłynął jako adwokat broniący prześladowanych narodowców.

Jako prezes Zarządu miejscowego S.N. pracował głównie wśród robotników. Wszyscy pamiętamy triumfalne wybory łódzkie i wielomiesięczne uwięzienie Kowalskiego. Wyszedł z więzienia jako entuzjastycznie witany leader Klubu narodowego w Radzie Miejskiej, która na prezydenta Łodzi wybrała b. posła i długoletniego referenta budżetowego w Sejmie, Stanisława Rymara. Wyboru tego władze nie zatwierdziły. Zatwierdziły dzisiejszego ministra Kwapińskiego. W pamięci zostanie Kowalski jako prawdziwy, samorzutny, przez nikogo nie zatwierdzany — chyba więzieniem — trybun robotniczej Łodzi.

W roku 1938 Kowalski zostaje prezesem Zarządu Głównego S.N. i pozostaje na tym stanowisku do maja 1939.

Była to dusza wyznawcy. Cechowała go mocna, nieprzeparta wiara religijna. Coś z tej wiary przenosił i na ruch ideowy, któremu służył.

Rodzi się pytanie, jak dokonał Kowalski tego opanowania robotniczej, niedawno socjalistycznej Łodzi ? Nie zrobił tego sam zapewne, ale magna pars fuit.

Człowiek niesłychanie niepozorny, krótkowidz, szepleniący, bez jakichkolwiek zalet mówcy — stał się powszechnie uznawanym obrońcą i trybunem narodowego robotnika łódzkiego. Jak się to stało ? Raz jeszcze, nie miał ten człowiek żadnych danych na demagoga . . .

Robotnika zdobył sobie Kowalski swą prostotą i bezpośredniością. Wyczuto w nim ofiarne oddanie się sprawie, której służył, i którą poprostu ,bez retoryki — nie zdolny był do retoryki — wykładał, jako rzecz samozrozumiałą. Był takim pośrednikiem między ruchem, któremu był oddany, a tłumem — iż pośrednictwo właściwie nie istniało. Ruch mówił sam za siebie, bo Kazimierz Kowalski mówił poprostu, tak jak go sam rozumiał. Nie dodawał i nie ujmował. Nie przeinaczał i nieamplifikował. Były te wybory łódzkie tryumfem rzetelności politycznej.

Robotnikowi obiecywał ruch narodowy jedynie więzienie i procesy polityczne, ewentualnie utratę posady. Niczego więcej obiecać nie był w stanie. Robotnik odpowiadał na to groszowymi składkami, z których się Stronnictwo utrzymywało w najczarniejszych godzinach. To samo dotyczyło ogromnych rzesz narodowego włościaństwa. Nazwisko Kowalskiego przejdzie do historii ruchu narodowego, dzięki przełomowej jego pracy nad robotnikiem łódzkim, którego pozyskał dla programu narodowego.

Kowalskiego również widziałem w okupowanym Lwowie. Był wytrącony z równowagi i głęboko smutny. Nie było prezesa Dmowskiego, a było nieszczęście Polski. Jak z niego wyjść ? Lękał się nie tyle nawet wojny, ile konferencji pokojowej bez Dmowskiego.

Kowalski zdołał przejść do okupacji niemieckiej i tam stał się ofiarą przemocy wroga. Zginął pod Łodzią, na swym posterunku, śmiercią żołnierza Sprawy, której służył.

Jakże bogatym jest ruch, który bez przerwy wydaje ze siebie ludzi tak niepodobnych, i tak bardzo podobnych, bo wciąż na nowo dorastających do takich ofiar !

Nie tylko ludzi, ale i ruchy ideowe mierzy się zdolnością do ofiar i poświęceń. Bo nie tylko ludzie ale i wielkie ruchy ideowe mają swe serce i skrzydła.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

PYTANIA EMIGRACJI i PRÓBA ODPOWIEDZI[1]

Motto: Próżność tylko nie słucha głosu uczucia, sumienia, rozumu . . .
(Napoleon)

II

W ŚWIETLE tych rozważań ogólnych obecny konflikt światowy rysuje się nam następująco.

Centralnym magazynem Aliantów są Stany Zjednoczone. Magazyn ten coraz silniej rozwija swój potencjał uzbrojeniowy i czynny wojskowy. Z arsenału tego kierują się w skali światowej cztery szlaki zaopatrywania Aliantów i użycia sił zbrojnych amerykańskich. Szlak pierwszy i podstawowy to droga do "wielkiego lotniskowca brytyjskiego" oraz —dodatkowo — przez Murmańsk do Sowietów. Szlak drugi — to droga około lub przez Afrykę do Egiptu, Azji Przedniej oraz — dodatkowo — przez Teheran do Sowietów. Szlak trzeci, i podstawowy dla walki o Pacyfik, prowadzi, ku Australii, Nowej Zelandii, Wyspom Salomona i Nowej Gwinei. Szlak czwarty — przez Alaskę i północnym Pacyfikiem na Wyspy Aleuckie. Zależnie od możliwości niektóre z tych szlaków wykorzystywane są dla pomocy Chinom.

W położeniu ogólnym bezpieczeństwo absolutne arsenału amerykańskiego oraz proste w skali światowej rozwiązania komunikacyjne dają Aliantom sytuację strategicznie korzystniejszą, niż to mają państwa Osi. Alianci żywią i utrzymują obecnie następujące fronty: zachodni, przeciwniemiecki, bardzo silnie w tej chwili aktywizowany lotnictwem, libijski w trakcie ofenzywy, sowiecki w okresie walk rozstrzygających o cele kampanii 1942 roku, chiński i burmeński raczej bierne, południowo zachodniego Pacyfiku (W. Salomona i Nowa Gwinea) — czynny, Aleuty — na razie mało aktywny. Oprócz tych frontów toczona jest odrębna, choć w ścisłym związku pozostająca, walka o komunikacje morskie i o blokadę. Jakby zaś ponad tym wszystkim unosi się wielka strategia powietrzna, która na terenie Niemiec dąży do celów strategicznych zakreślonych na skalę największą — do zniszczenia potencjału ekonomicznego, komunikacyj i morale Niemców w tym stopniu, by to odegrało zasadniczą rolę w zagadnieniu zakończenia wojny. Polityka aliancka gra również swoją rolę — może jeszcze w stopniu niedostatecznym. Dąży ona do osłabienia morale niemieckiego, a wzmocnienia morale podbitych narodów i wzmożenia u nich siły oporu . . .

Musimy sobie tedy postawić pytanie, jak *grają* wszystkie te fronty, wojna powietrzna, wojna morska i wojna polityczna w chwili obecnej. Nie ulega wątpliwości, że przeciwnikiem głównym są Niemcy, że zatem należy zanalizować położenie Niemiec, by znaleźć się najbliżej syntezy ogólnej. Najbardziej ciekawe jest materialne położenie Niemiec. Wyróżnimy tu dwa przede wszystkim objawy: refleks przemian w niemieckim potencjale wojennym odbity na froncie sowieckim oraz skutki bombardowań. W 1941 roku prowadzili Niemcy ofenzywę w Sowietach na całym froncie. Około dwieście dywizyj niemieckich i dalszych kilkadziesiąc satelickich zaangażowanych było przez cały czas kampanii w ramach maksymalnego zużycia ludzi, sprzętu i uzupełnień. Doprowadziło to do sytuacji katastrofalnej, o której mówił następnie swego czasu Hitler. W 1942 roku Hitler uderzył już tylko na południowej części frontu sowieckiego. Ilość zaangażowanych stale jednostek własnych i satelickich nie przenosiła 60-80. Widzimy więc jasno, że w kampanii 1942 roku Niemcy stać już było na jedną trzecią tylko wysiłku z roku poprzedniego. To skonstatowanie ma najpoważniejsze znaczenie dla ostatecznego wyciągania wniosków.

Bardzo ciekawe są również przemiany w potencjale ludzkim. Przy uwzględnieniu powiększenia obszaru Rzeszy oraz równoczesnym osłabieniu roczników t. zw. wojennych (z 1914-1918) w stosunku do roczników pełnoletnich w czasie wojny poprzedniej — Niemcy mogły zmobilizować obecnie około 11 milionów ludzi. Zużytkowanie zaś tego materiału ludzkiego odtworzyć można następująco: lotnictwo i marynarka wojenna około półtora miliona ludzi; magazyny wojskowe Rzeszy, parki uzbrojenia, przemysł wojenny w zarządzie wojskowym — około pół miliona ludzi; artyleria przeciw-lotnicza, reflektory i personal wojskowy OPL — milion ludzi; Gestapo i garnizony niemieckie — milion ludzi; obsada Zachodu, Bałkanów i Libii — najmniej 600 tysięcy ludzi. Najtrudniejszą cyfrą jest obliczenie strat. Z dużym prawdopodobieństwem możemy je przyjąć na około 3 miliony zabitych i trwale niezdolnych do walki. Podkreślić przytem musimy, że są to straty elitarne, najmłodszych i najbardziej wartościowych roczników. Uwzględniając zatem nowy rocznik, który przybędzie Niemcom do poboru w 1943 roku, widzimy, że potencjał ludzki Rzeszy znajduje się już bardzo blisko tej granicy, przy której załamał się w 1918 roku. W tym to roku armia niemiecka doszła do cyfry strat 1.700 tysięcy zabitych i 750 tysięcy jeńców. Przy tych stratach potencjał ludzki niemiecki okazał się do dalszej walki zupełnie niezdolny. Zaznaczamy tu, że w tych szkicowych obliczeniach przyjęliśmy z ostrożności cyfry dla Niemców możliwie najpomyślniejsze.

W dziedzinie komunikacyjnej obserwujemy cały szereg objawów wskazujących na bardzo wielkie trudności Rzeszy. Periodyk oficjalny *Die Wehrmacht* napisał szczegółowo o trudnościach komunikacyjnych Niemców na froncie wschodnim. Ograniczenia wprowadzone w tym zakresie w Rzeszy i w krajach okupowanych zdają się wskazywać na niebezpieczne napięcie. Mało się ostatnio mówi o blokadzie, choć jasne jest, że dopiero dzisiaj dają się odczuwać skutki rozpoczęcia blokady w 1939 r. Niespełnienie się przewidywań co do groźby braku benzyny u Niemców odsunęło w naszej opinii wpływ tego czynnika na plan drugi — moim zdaniem niesłusznie. Benzyny dotąd nie brakowało, ponieważ obniżono do zera zużycie jej na cele niezwiązane z wojną. Dało to oszczędności olbrzymie. Zdobycze ogromnych ilości zmagazynowanych surowców, rabunek całej niemal Europy — pozwoliły pchać maszynę wojenną niemiecką. Ale dziś już widzimy, że np. sprzęt lotniczy niemiecki, i pod względem użycia materiałów i pod względem wykonania, obniżył swój standart. Niedawno zestrzelono w Libii maszyny niemieckie, których zbiorniki benzyny były zwyczajne, a nie samosklejające się, jak dotychczas. Tego rodzaju wskazówka prowadzi do objawu braku surowców i skutków blokady.

Pozostaje sprawa bombardowań, najbardziej ze wszystkich w dyskusji sporna. Zróbmy zatem pewne porównania. Wielka jednostka piechoty, licząca około 15 tysięcy ludzi, wyposażona w 100 dział, zużywszy całą swoją dotację ognia wyrzuci na przeciwnika w wadze pocisków piechoty około 30 ton i artylerii około 100 ton. Otóż tę pracę wykonywa dzisiaj dywizjon Lankastrów w składzie 18 maszyn. Jeśli porównamy skuteczność ognia dywizji przeciwko celom stałym i skuteczność bombardowań przeprowadzonych ostatnio przeciw zakładom Renault, Le Creusot, w Zagłębiu Ruhry i portach niemieckich, w Mediolanie, Turynie i Genui, to bez wielkiej przesady można powiedzieć, że są to znacznie większe skutki, niż przy wprowadzeniu nawet 100 dywizyj na teren europejski. Ale to jeszcze nie wszystko. W tej chwili w dziedzinie strategii powietrznej rysują się dwa nowe czynniki: czynnik zwiększenia wydajności przez bombardowania dzienne oraz czynnik głębokiego manewru z tych samych baz. Naloty dzienne amerykańskich Fortec, nalot Lankastrów na Le Creusot i potężny nalot na Mediolan przy świetle dziennym są dowodem skutecznej walki lotnictwa bombardującego z lotnictwem myśliwskim obrony o przewagę w powietrzu, odkrywając w ten sposób zupełnie nowe możliwości taktyczne dla lotnictwa bombardującego; używanie zaś lotnictwa z baz W. Brytanii aż przeciw Włochom powiększa niezwykle możliwości strategii powietrznej, pozwalając na oszczędzenie przy tym manewrze tysięcznych środków ludzkich i transportowych, które były dotychczas potrzebne przy przesuwaniu baz lotniczych.

W bombardowaniach lotniczych widzimy tedy główne przyczyny obniżenia się potencjału materialnego i moralnego Niemiec. Można przewidywać, że po osiągnięciu całkowitej przewagi w powietrzu przez Aliantów, skutki bombardowań mogą się niezwykle szybko i wielokrotnie zwiększyć. W dotychczasowym rozwoju techniki w tej wojnie największe postępy zrobiło lotnictwo Aliantów. To też wydaje się nam, że na tym polu winni Alianci szukać najszybszego rozstrzygnięcia.

Dążąc ku syntezie, w ten sposób można by ocenić obecne położenie Niemiec. Poważne ich błędy polityczne i strategiczne zaczynają właściwie dopiero teraz grać swoją rolę. W dziedzinie wojskowej doskonałe narzędzie wojny, jakim były siły zbrojne niemieckie, zupełnie wyraźnie zaczyna objawiać zużycie. Przewaga taktyczna wojsk niemieckich, oparta na elitarnym doborze kadry i specjalistów

---

[1]) Część pierwsza niniejszego artykułu zamieszczona została w poprzednim numerze *Myśli Polskiej* (Nr. 36) pod tym samym tytułem. Cały artykuł napisany został w październiku, przed ostatnimi wydarzeniami wojennymi, których przebieg w niczym nie ujął wartości wywodom autora artykułu. W jednym tylko miejscu autor uzupełnił swoje wywody, nawiązując do jednego z ostatnich wydarzeń politycznych. Wywody te uważny Czytelnik łatwo odnajdzie. Rozważania związane z poruszonym tematem kontynuowane będą w najbliższych numerach *Myśli*, jednakże już w odrębnych artykułach. — *Redakcja.*

wobec wielkich strat poniesionych na froncie sowieckim, wobec również wielkich postępów wojsk Sprzymierzonych, skończyła się bezpowrotnie. Szczególnie silnie występuje to w dziedzinie uzbrojenia, gdyż obecny sprzęt aliancki nie tylko dorównywa, ale w wielu wypadkach znacznie przewyższa sprzęt niemiecki. Potencjał materialny uzupełnień sprzętu i rozwijania się maszyny wojennej zaczyna również w pełni przechylać się na korzyść Sprzymierzonych. Obrazuje to najlepiej następujący przykład. Działo przeciwlotnicze Boforsa, którego fabrykacja wynosiła około 450 godzin roboczych, dzisiaj wykonywane jest w fabrykach amerykańskich w 15 godzin. Nastąpiła już pełna mobilizacja przemysłu uzbrojeniowego Sprzymierzonych. Zastosowano szereg nowych wynalazków, a przede wszystkim przemysł Sprzymierzonych przewyższa przemysł niemiecki doświadczeniem w produkcji masowej. Fabryki Forda przewidują wypuszczanie jednego czteromotorowego bombowca co godzinę. Silniki lotnicze produkowane są obecnie przy wielu tysiącach procentów czasu mniej, niż to miało miejsce jeszcze półtora roku temu. Jedyną dziedziną, w której Alianci mają szczególnie wiele trudności do pokonania, jest walka z łodziami podwodnymi. Ale i tu, dzięki nowym 10.000 tonowym statkom *Liberty*, spuszczanym na wodę w Ameryce w tempie trzech dziennie, dzięki nowym formom walki obronnej oraz bombardowaniom wytwórni i gniazd łodzi podwodnych w Niemczech — zahamowano niebezpieczeństwo.

W sytuacji ogólnej Niemcy przeszli do obrony. Nie jest to z ich strony podstęp, stratagema wojenne, lecz konieczność o tym większym znaczeniu, iż Sztab niemiecki opanował świetnie zasady strategii i rozumie, że w sensie strategicznym atak jest silniejszą formą walki, niż obrona, — pod warunkiem, by siła jego nie wyczerpała się przed momentem ostatecznym. Przejście zatem Niemców do obrony dowodzi, iż złamali tę zasadę strategiczną. Obojętne jest, czym i jak to motywują. Musieli to zrobić i dziś mogą mieć tylko nadzieję przetrwania, wyjątkowo tylko zwycięstwa, ale nigdy już tej pewności, z jaką wojnę zaczęli.

Przejście do obrony w znaczeniu technicznym obejmuje zorganizowanie jej od północnej Norwegii aż do Archipelagu Dodekanezu, a zatem około 10 tysięcy km. Wszelkie schematy obrony dla tej przestrzeni są mniej lub więcej niewykonalne. Atakujący zawsze znajdzie słabe punkty, by przejść w obszar broniony. Umieszczenie w fortyfikacjach poważnej ilości sił, może stać się najklasyczniejszą formą pułapki dla zamkniętych tam oddziałów. Manewrowanie odwodami lokalnymi i strategicznymi, poza tym że wymaga ogromnych i w dobrym stanie środków komunikacyjnych, — może być bardzo łatwo pokrzyżowane przez nową formę ataku.*) Jeśli do tego dodamy trudności komunikacyjne obrony niemieckiej i niepewność zaplecza wynikającą z wrogiego nastawienia ludności krajów okupowanych, to zobaczymy jak niezwykle niebezpieczną jest dla Niemiec ta nowa ich koncepcja prowadzenia wojny. Marszałek Smuts słusznie określił syntezę położenia: przyszedł czas do ataku. Tak, do ataku, który do końca wojny nie powinien już stracić swojej ciągłości. Od siebie tylko dodamy, że atak ten odpowiadać winien zasadom napoleońskim: w jednym tylko miejscu, z absolutną przewagą sił i pełnym wykorzystaniem zwycięstwa. To też po doprowadzeniu Afryki do końca mogą przyjść natychmiast inne operacje: możliwości jest bardzo wiele. Równocześnie wojna powietrzna o stale wzmagającym się napięciu winna być kontynuowana aż do ostatecznego zwycięstwa. Ale wszystko po kolei i nie od razu, bo nie wydaje się, by Alianci byli w tej chwili zdolni do czegoś więcej, jak jednego tylko poważnego działania naraz.

W tej fazie wojny dla nas, Polaków, rysują się pewne możliwości, których wykorzystanie mogłoby zwielokrotnić politycznie nasz wysiłek zbrojny. Na przykład, gdyby po zlikwidowaniu Osi w Afryce przyszło wybicie z szeregów Włoch i czas na obejście zapory alpejskiej — bądź na zachód, bądź przez Bałkany — *jak olbrzymie miałoby znaczenie pojawienie się polskich sztandarów wśród Południowych Słowian i innych narodów tamtej strefy* . . .

Jeśli więc zadajemy sobie pytanie, jak ta wojna właściwie była prowadzona, to możemy, spokojni już dziś o wynik ogólny, powiedzieć za Sieyesem z okresu poterrorystycznego: *J'ai vécu*. Przeżyliśmy. W tej chwili właśnie odwraca się karta. Przechodzimy do ataku. Będziemy jednak zdawać jeszcze egzamin z dorobku i doświadczeń trzechletnich, jak potrafimy wykorzystać niebezpieczne położenie Rzeszy. Pamiętać musimy, że mimo oszałamiających powodzeń dwukrotnie Niemcy w tej wojnie znajdowali się w obliczu katastrofy. Sądzimy, że po raz trzeci znajdują się wobec niej teraz. Od nas, koalicji naszej, zależy, by tym razem położenie stało się dla nich bez ratunku i bez wyjścia.

Kiedyż zatem może skończyć się ta wojna? I tu dochodzimy do sedna zagadnienia. Jaka wojna? Czy wojna Aliantów z Niemcami? Czy Aliantów z Japonią? Czy Stalina z hitlerowskimi Niemcami?

Ostatnia mowa Stalina rzuca niezwykle ciekawe światło na to ostatnie pytanie. Stalin nie wierzy w możliwość całkowitego rozbrojenia Niemiec. A więc liczy się z pozostawieniem jakichś sił zbrojnych niemieckich! Naturalnie nie mogą to być siły nieprzychylne Stalinowi, a więc jakie? Czyżby bismarckowskie, dążące do współpracy imperializmów? Czy może ma on na myśli siły zbrojne niemieckie, nawiązujące do tradycji ruchu Spartakusa i Róży Luksemburg? Bez względu na to, jak my te sprawy widzimy, koncepcje tego rodzaju świadczą o wysokiej klasie polityki Stalina . . .

Nie wiemy, jak się wypadki rozwiną. Wiele jednak rzeczy — może nawet wszystkie — w polityce współczesnej wynika i ma korzenie w historii. Dlatego też tak lichymi politykami są osobistości nie rozumiejące historii. Historia Rosji zaś jest jednym konsekwentnym łańcuchem przyczyn i skutków. Aleksander Newski, zwycięzca Rycerzy Mieczowych, i Dymitr Doński, zwycięzca Tatarów, przygotowali drogę Iwanowi Groźnemu, pogromcy Złotej Ordy w Kazaniu i drugiej Ordy w Astrachaniu, ten zaś przygotował grunt Piotrowi Wielkiemu, Piotr Wielki Katarzynie Drugiej i tak dalej, i tak dalej . . . Czyżby się miał odrodzić imperializm rosyjski?

Mogą się nad tym zastanawiać i na pewno zastanawiają ci Niemcy w Niemczech, którzy myślą mniej o nazizmie, a więcej o racji stanu niemieckiej. Klęskę swoją militarną mogą ewentualnie Niemcy zechcieć rozegrać przy zatrzymaniu inicjatywy politycznej w swoim ręku i nie swoim kosztem. Racja stanu niemiecka może więc, w przewidywaniu i uprzedzaniu katastrofy, bądź skrócić front i bronić się na terenie Polski, bądź nawet może wpaść na pomysł zorganizowania Czerwonych Niemiec i Czerwonej Polski. Realizm polityczny nie pozwala nam tu pominąć takich objawów, jak istnienie na terenie Polski zorganizowanej, konsekwentnej i z zewnątrz wytrwale podsycanej akcji komunistycznej, co przy rozbiciu społeczeństwa "deklaracją trzech stronnictw" może mieć skutki poważniejsze, niż się naogół o tym myśli.

Jeżeli jednak odsuniemy na bok tę dygresję czysto polską i wrócimy do zagadnienia ogólnego, odpowiemy na postawione pytanie, iż klęska Niemiec w walce z Aliantami nastąpi wtedy, kiedy *natężenie ataku lotniczego na Niemcy doprowadzimy do około* 30 *tysięcy ton bomb miesięcznie i kiedy posiadać będziemy nowocześnie pojętą siłę pancerno-lotniczą, która potrafi to wykorzystać*. Jest to chyba, tak określony, najdalszy termin pobicia Niemiec. Nie wyklucza to, że Niemcy mogą wcześniej albo załamać się, albo wykonać najfantastyczniejszy trick polityczny, na jaki nasza polityka oficjalna absolutnie nie jest przygotowana. Jak daleko jednak Alianci posunęli się w akcji militarnej na terenie Niemiec? W październiku zrzucili 10 tysięcy ton bomb na państwa Osi w Europie. Nie oznacza to jeszcze maksymalnego wysiłku — zwłaszcza, że gros lotnictwa zajęte było eskortowaniem konwojów morskich, samodzielną walką z łodziami podwodnymi, współdziałaniem z Armią Ósmą oraz koncentracją do współdziałania z Armią Pierwszą brytyjską i Korpusem Amerykańskim w Afryce.

Pozostaje nam trzecie pytanie emigracji: o co się bijemy, my Polacy? Jest to krzyk serca całej emigracji. Bijemy się o niepodległą, suwerenną Polskę, o niepodległość i suwerenność nieograniczoną w żaden inny sposób, jak tylko umowami wzajemnymi na równych prawach dla wszystkich Sprzymierzonych. O pomoc dla umęczonego Kraju. Bijemy się o bezpieczeństwo naszych dzieci. O udział w organizowaniu bezpieczeństwa w ramach współdziałania Sprzymierzonych. O udział proporcjonalny do roli, jaką naród polski odegrał w tym kataklizmie dziejowym. Bijemy się o zasady moralne, które znajdują się u podstaw tej rzeczywistości, do której dążymy.

Można by tu napisać też o co się nie bijemy i to zarówno w stosunkach międzynarodowych, jak i naszych własnych ,wewnętrznych. Odrysowanie tego negatywu pozostawimy jednak do sposobniejszej pory.

Czy emigracja wojenna polska stanie jednak na wysokości zadania? Nie będziemy tu w tej chwili krytykować rzeczywistości obecnej, spróbujemy tylko naszkicować schemat, jak ona wyglądać powinna. Winniśmy na emigracji wytworzyć najlepszy możliwie *system* wykonania naszych zadań.

U podstaw wszystkiego winna być prawdziwa jedność narodowa. Nie wystarczy tu twierdzić, że jedność jest, skoro jej nie ma. Nie wystarczy nakleić fałszywą nalepkę, bo najlepszy nawet plaster nałożony z wierzchu na ranę nie uleczy jej organicznie i może tylko czasowo zasłonić psucie się i rozkład.

Z tej jedności powinien być wyłoniony organ decyzji prowadzenia wojny — Gabinet Wojenny. I znowu tu podkreślam, że nie wystarczy zmienić szyld i stworzyć pozory. Gabinet Wojenny nie może też być przypadkowym komitetem innego ciała, lecz musi mieć swój własny organ pracy, stały sekretariat, przygotowujący Gabinetowi dane do decyzji. Dopiero taki Gabinet Wojenny może ustalić zasady użycia wojska oraz tezy współpracy politycznej i wojskowej z Aliantami, zapewniające odpowiedni współudział Polski w pro-

(ciąg dalszy na str. 573)

*) W ogóle musimy przyjąć tezę, że przyszły atak Sprzymierzonych nie może być prowadzony po liniach ortodoksyjnych. Desant na Dieppe pokazał nam dwie rzeczy: że inwazja kontynentu w najsilniejszym nawet punkcie jest możliwa; jak nie należy w przyszłości przeprowadzać głównego ataku.

STANISŁAW KOWALSKI

POWRÓT POLSKI

DZIENNIKARKA angielska Odette Keun zastanawia się w swojej niedawno wydanej książce "*And Hell Followed* . . ." nad geopolitycznym położeniem Polski. Gdy mówi o nim, używa przymiotnika "rozpaczliwy". "Geograficzna sytuacja Polski jest rozpaczliwa . . ."

Książka tej mało znanej, lecz bardzo bystrej dziennikarki, która cały rok spędziła w Polsce, wzięta tu jest dla przykładu i zilustrowania ustawiczności tego motywu we wszystkich zagranicznych wydawnictwach publicystycznych, bodaj trochę tylko życzliwszych Polsce. Dla każdego bezstronnego człowieka, którego stać na cokolwiek jaśniejsze rozeznawanie spraw świata — zjawisko to jest uderzające i aż przeraźliwe. Stale pojawia się ta sama nuta: rzecz prosta, można i trzeba mówić o Polsce, która się tak pięknie spisała w tej wojnie, ale zanim się powie cokolwiek innego pierwsza sprawa jest ta: ich położenie geograficzne jest rozpaczliwe, oni są zgóry i zawsze skazani na to, aby być państwem rozbiorów, okupacji i masowych egzekucji.

Zagadnienie to znają najlepiej sami Polacy. I dlatego ci z nich, którzy myślą odpowiedzialnie, wszelkie rozważania polityczne rozpoczynają zawsze od tego zasadniczego motywu.

Troska, aby rozwiązać ten dla Polski najważniejszy problem, nie była udziałem ludzi, którzy układali postanowienia ubiegłej konferencji pokojowej, choć ta właśnie troska była przyczyną i powodem wszystkich ówczesnych polskich żądań. W owych czasach dokonywała się sprawa bardzo w międzynarodowych kołach niezwyczajna, przywracania do życia państwa, które za milczącą zgodą wszystkich potęg światowych wykreślone zostało ongiś z rzędu państw żywych i miało już czas obróść wygodnym nałogiem zapomnienia. Łamanie tych nałogów i przyzwyczajeń, branie na siebie tysiąca kłopotów z reaktywowaniem dawno zapomnianej rzeczywistości — wydawało się politykom światowym dostatecznie wielką łaską i dobrodziejstwem. Powstająca do życia Polska powinna była być rada ze wszystkiego, co otrzyma, a nie zgłaszać jeszcze jakieś kaprysy i żądania.

Postanowienia podejmowane w takim nastroju odebrały samą podstawę "wielkodusznego daru," to znaczy możność obrony życia temu, komu się to życie "dało," a polityka dalszych lat dwudziestu tylko te warunki pogarszała, aby zgodą na okupację Czechosłowacji pozwolić wbić Polsce niemiecki miecz jeszcze i od strony Słowacji i Czech.

Postanowienia te jednak nie tylko zgubiły dar możności życia dla Polski, zgubiły coś ponadto jeszcze innego: pokój i porządek całego świata, który to pokój jeszcze dotychczas zaczyna się zawsze od pokoju panującego w Europie.

Europa, jako pewna określona przestrzeń geograficzna i jako określony twór historyczny jest w pewien sposób politycznie zdeterminowana. To znaczy, że na jej przestrzeni istnieją określone warunki natury geograficznej, politycznej i gospodarczej, które — jeśli są spełnione — utrzymują ten teren w równowadze; jeśli się je siłą zmieni, Europa staje się zarzewiem niepokojów i pożaru. Rzecz prosta, że w wypadku zupełnej zmiany podstaw życia politycznego i gospodarczego świata cywilizacji zachodniej, w wypadku zastąpienia dotychczasowych zasad nowymi i nową strukturą o charakterze międzynarodowym, owe warunki determinujące konieczne rozwiązania, zmieniły by się również, a wraz z nimi i typ rozwiązań. Nie bardzo się jednak na to obecnie zanosi i wiele pewnie upłynie jeszcze czasu zanim na serio będzie można myśleć o praktycznym realizowaniu takich zmian. Stary więc układ potrzeb i konieczności musi obowiązywać każdego polityka, który nie jest maniakiem, albo zapłaconym agentem.

Struktura geopolityczna Europy układała się w czasach, kiedy panowały tu na tyle swobodne stosunki, że zwyciężać mogły naturalne skłonności i tendencje terenu. Od tych dawnych czasów, na przełomie dwóch pierwszych tysiącleci, zarysowaną rzeźbę terenu wzięła w swe strumienie historia. Rozpoczął się wzrost i rozwój zarówno politycznego jak i gospodarczego, zarówno cywilizacyjnego jak i kulturalnego stanu rzeczy. Ktoś, kto chciałby tę strukturę dziś zmieniać, musiał by odwrócić i przekreślić wszystkie te procesy, z których każdy ma po tysiąc lat i wiele osiągnięć za sobą.

Owa podstawowa topografia terenu, którym się tu zajmujemy, była bardzo prosta, jasna i uzasadniona. Trzon kontynentu europejskiego polityczne był rozłożony na trzy mniej więcej równe regiony: Rzeszę niemiecką, ciążącą ku południu, Polskę gospodarującą w środku Europy i Rosję, kierującą swe ambicje na równiny azjatyckie.

Tragedja rozpoczęła się od chwili, kiedy ze względów absolutnie egoistycznych jedna z tych sił, Rzesza niemiecka, powzięła plan innego podziału politycznej rzeczywistości Europy, polegający na wyeliminowaniu z gry politycznej ogniwa środkowego. Władcy niemieccy zdecydowali ten plan z chęci powiększenia terytorium niemieckiego, ale realizując to, równocześnie naruszyli *równowagę Europy, która polegała, i polega w dalszym ciągu, na rozkładaniu dynamiki politycznej nie na dwa elementy, lecz na większą ich ilość.* Jakkolwiek zamiarem Niemiec było zgarnięcie z tego planu profitów wyłącznie dla siebie, jednak w pewnej chwili okazało się, że należy wezwać do pomocy Rosję, aby we wzajemnym uścisku zdusić, rozerwać i unicestwić Polskę. Że to złączenie się sojuszem w zbrodni miało być jedynie chwilowe, świadczą o tym dwie ostatnie wojny, poprzednia i obecna.

Pouczającym ale i bardzo pasjonującym zadaniem historyczno-politycznym było by prześledzenie procesu likwidowania z politycznego życia Europy elementu środkowego, to znaczy Polski. Od pewnego momentu w historji ten środkowy teren, naciskany z dwóch stron równocześnie poczyna się istotnie kurczyć pod względem terenu, znaczenia politycznego i siły stabilizacyjnej. Ten proces osiąga w pewnej chwili rezultat taki, że Polska politycznie przestaje się wogóle liczyć, a równowaga europejska zawisa na dwóch krawędziach, które, po okresie potrzebnym na strawienie i organizację, poczynają wprawiać tę część świata w bezustanny konwulsyjny pląs. *Dla nowoczesnego historyka, który sumiennie przestudiuje podstawowy materiał z tego zakresu, poczyna nie ulegać wątpliwości, że wszystkie zamieszki i wojny europejskie ostatnich trzech stuleci poczynały się nieodmiennie z siły, która dokonała sprzysiężenia przeciw państwu polskiemu, i wynikają stąd, że system polityczny Europy opiera się między XVII a XX stuleciem tylko na dwóch elementach.*

Wydaje mi się, że napisanie takiego gruntownego studium było by interesujące przede wszystkim dla historyka narodowości angielskiej. Anglia, leżąc u boku Europy,

---

(ciąg dalszy ze str. 572)

wadzeniu wojny i wpływaniu na swoje własne losy. Chodziło by między innymi o to, żeby na przyszłość być najważniejszym ekspertem w łonie naszej Koalicji od spraw Europy Środkowo-Wschodniej i żeby ani w dziedzinie politycznej ani wojskowej nie ograniczyć się do roli strony zawiadamianej kurtuazyjnie *post factum*. Oczywiście, by dorosnąć do tej roli, należy na wszystkich szczeblach zorganizować mózgi, na żadnych zaś móżdżki, na miarę chwili. Wysiłek nasz organizacyjny powinien wyzwolić się z serwitutów partyjnych czy serwitutów przyjaźni lub nawet klik osobistych. Pamiętać tu należy, że historia analizować będzie nie przemówienia, lecz czynny i że na piętno śmieszności zasłużą sobie wystąpienia, w których czynnik osobisty wysuwał się nad sprawy publiczne.

(W dziedzinie organizacji wojska należy powrócić do zasad europejskich systemów konstytucyjnych. Za całość sił zbrojnych odpowiadać winien politycznie minister Wojny czy Obrony Narodowej i jemu wszystko winno podlegać. Winien istnieć Sztab Główny i podlegać Ministrowi, żeby uniknąć dualizmu o podejrzanym rodowodzie ustrojowym. Statut sił zbrojnych winien być tak opracowany, żeby nie mogło być mowy o braku praworządności. Oprócz Sztabu winna istnieć Rada Wojenna, również podlegająca Ministrowi, która by była odpowiedzialna za wszelkie wnioski dotyczące organizacji, morale, uzbrojenia i doktryny walki. Ta Rada złożona z przedstawicieli wszystkich rodzajów sił zbrojnych, broni i służb, poddawałaby fachowej dyskusji wprowadzenie i wartość każdego nowego szczegółu uzbrojenia, czy organizacji, czy nowej instrukcji, żeby uniknąć tu możliwości błędów jednostki w stadium przygotowawczym. Dopiero decyzja należy do hierarchii ustawionej jednostkowo, ale również odpowiedzialnej . . .)

Wszystkie te decyzje polskie są w tej chwili podwójnie ważne. Ze względu na decydujący okres wojny, gdyż po prostu nie ma chwili czasu do stracenia. I z tego również względu, że w tej chwili po zgromadzeniu środków stoi przed Sprzymierzonymi kwestia planowania ich użycia. Tutaj więc Polska nie powinna już być nadal w znacznej mierze jak dotychczas nieobecna i w dziedzinie planowania zarówno strategicznego jak i politycznego powinna odegrać swoją rolę. W każdym razie Kraj zapyta napewno, jak to zadanie zostało przygotowane i wypełnione.

Ten minimalny program tu naszkicowany poddaję rozwadze wszystkich Polaków, którzy rozumieją, że do odzyskania niepodległości wszyscy winniśmy iść razem, choćbyśmy potem mieli się znowu rozejść. Taki jest, sądzę i odczuwam to głęboko, krzyk serca całej emigracji. "Próżność tylko nie słucha głosu uczucia, sumienia, rozumu", L. E.

spojona z nią jednak nierozerwalnie, szczególnie zawsze była zainteresowana w znajdowaniu magicznej formuły utrzymania równowagi europejskiej. Sądzę, że ta potrzeba nie straci swych podstaw i po obecnej wojnie. Warto przypatrzeć się pracowitym zabiegom Anglii nad znalezieniem klucza i tajemnicy tej równowagi w dotychczasowej sytuacji istnienia tylko dwóch elementów politycznych w centrum Europy. Jakże ubogie, i właściwie zgóry skazane na przegraną, otwierały się możliwości. Jest to zawsze skąpa i uboga alternatywa: dzielenie nadziei pomiędzy Niemcy i Rosję. Przytym taki jest fatalny zbieg okoliczności, że *każdy wybór powoduje automatycznie nie pokój, ale rozpalanie się apetytów chwilowego faworyta na całość: druga pozbawiona łask potęga i wszystkie mniejsze państwa na dodatek.*

Jest rzeczą ponad wszelką wątpliwość oczywistą, że jeżeli Europa ma wrócić do ładu i przygotować się do przyszłych zgodnych form politycznego życia, w układzie jej politycznym musi być więcej, jak dwa elementy siły i dynamiki.

Powołanie do życia przed dwudziestu laty państwa polskiego nie było istotnym powrotem Polski. W rozbiory weszła Polska jako państwo wielkie i decydujące o równowadze, zaś z wojny poprzedniej wyszła jako państwo małe i z granicami tak powyrzynanymi, jakgdyby ktoś się wysilał specjalnie nad tym, żeby były najdłuższe i najtrudniejsze do obrony. Razem z Polską powstawały do życia inne państwa tego rejonu. Warunki ich powstania były mniej więcej takie same, jak Polski. Nikt z wielkich czarodziejów i ówczesnych dobroczyńców nie pomyślał o tym, aby w jakiś sposób uczynić możliwym związanie się tych różnych nowopowstałych państw.

Ani Polska sama nie otrzymała dość źródeł siły, ani nie uczyniono nic, aby ze wszystkich państw, uwolnionych z pod przemocy imperializmów niemieckiego i sowieckiego uczynić czynnik siły i ładu. Przeciwnie zrobiono wszystko, aby i Rosja i Niemcy mogły tu swobodnie mącić i kłócić. Obecna wojna wybuchła dlatego, że (1) *nie ustały apetyty grabieży istniejących imperializmów*, (2) *nie wprowadzono z powrotem w środku Europy trzeciego elementu równowagi, równego w sile dwum pierwszym.* Bohaterstwo i przelana krew poprzedniej wojny, trud i wysiłki konferencji pokojowej poszły na marne.

Leży w interesie zarówno Polski, jak i całego świata, aby jej powrót był tym razem całkowity. Aby nie stosowano wobec niej darowizn z zastrzeżeniem i nie dawano warunków życia, w których nie można żyć, a każda praca wykonana z nakładem największego wysiłku idzie na marne i tuczy morderców i grabieżców.

W pierwszym rzędzie chodzi tu o granice. Granice te muszą być oparte o założenia możliwości ich obrony, oraz możliwości stworzenia dostatecznie sprawnego organizmu gospodarczego. W artykułach następnych zostaną te potrzebne Polsce granice wyraźnie i szczegółowo określone. Tu chodzi tylko o postawienie i zaznaczenie problemu.

Granice te muszą być na zachodzie i północy szersze od tych, które Polska miała ostatnio. Nikt nie jest wstanie bronić granic, posiadających ponad dwa tysiące kilometrów i podchodzących na odległość dziesięciominutowego lotu pod samo serce kraju.

Gdy się mówi o przyszłych granicach, zdarza się ustawicznie, że z bardzo wielu stron, nawet niekiedy z kół ludzi, którzy z paszportu uważają się za Polaków, padają niechętne pomruki o "polskim imperializmie". Chciał bym na tym miejscu przyjrzeć się temu zarzutowi, który pochodzi od ludzi, którzy są albo bezmyślni i niedouczeni, albo odznaczają się niezupełnie dobrą wolą i czystymi intencjami.

Nasuwa się pytanie o treść tego określenia "polski imperializm". Co wogóle usprawiedliwia pojawienie się takiego terminu politycznego? Czy może historia? Historia polska mówi zupełnie jasno, że Polska nie prowadziła żadnych wojen zaborczych. Autor niniejszego artykułu nie zna ani jednej wojny polskiej, po okresie konsolidacji państwa, która mogła by mieć cośkolwiek wspólnego z najdalszym nawet znaczeniem imperializmu. Prawdą natomiast jest, że ziemie państwa polskiego w ciągu historii powiększały się. Raz powiększyły się przez dobrowolny zbiorowy chrzest całego narodu ,a drugi raz przez dobrowolną unię. Czy dobrowolną unię i dobrowolny chrzest można nazwać działaniem imperialistycznym?

Następne pytanie z tego zakresu zahacza o sprawę obronności. *Polska chce mieć granice, które by się dały, w razie potrzeby, bronić.* Nie chcemy co 17 lat (jak było w ostatnim stuleciu) mieć na ziemiach polskich wojny albo rzezi. Chcemy mieć możność spokojnej i ciągłej pracy. I stąd potrzebne są nam obronne granice, takie, które — gdy gwarancje bezpieczeństwa zbiorowego zawiodą — pozwoliły by przecież mieć bodaj szanse obrony. Czy taka chęć, która u innych uważana jest jako niepodlegający nawet dyskusji aksjomat, może być uważana za "dążność imperialistyczną"?

Zwłaszcza, zwłaszcza, że te dodatkowe tereny, które potrzebne są do uczynienia naszych granic obronnymi, chce otrzymać Polska *nie z cudzego, ale ze swojego.* Nie z cudzej własności, ale ze swego dorobku historycznego. Czy może to, chęć odebrania swojej własności może być uważana za "dążności imperialistyczne".

Więc, gdzież jest ten polski imperializm, do licha?!

Pragnę zwrócić najbaczniejszą uwagę na to niewiarygodne zjawisko: Dwa imperializmy, niemiecki i rosyjski odebrały państwu, które było gwarantem równowagi i spokoju w Europie, wielką część ziem. Obecnie, kiedy świat przecież zaczął zwracać nieco uwagi na pryncypia moralne, to pokrzywdzone państwo chce odebrać swoją ukradzioną własność. Lecz nie pozwalają mu tego czynić ba, mówić bodaj o tym. *Utrzymywanie w swoich granicach ziem ukradzionych nie jest imperializmem, imperializmem jest dopiero domaganie się swego!*

Pomieszanie pojęć i płytkość myślowa doszła, zaiste, do stanu przeraźliwego. Polska na terenie zagranicznym występuje w akcesoriach ciężkich zarzutów. Żaden kraj w Europie, nawet te kraje które notorycznie i programowo dopuszczają się wszystkich możliwych zbrodni, mordują ludzi m i l j o n a m i, nie jest tak szkalowany, jak Polska. Imperializm, totalizm, faszyzm, prześladowania Żydów, prześladowania Ukraińców — to są zarzuty, które stale kierowane są pod adresem Polski przez ludzi, którzy nawet zdobywają się na sprawiedliwą ocenę polskiego bohaterstwa wojennego. Sprawa jest po części zrozumiała. Właśnie te dwa zaborcze imperializmy, które usiłują od dawna podzielić się ziemiami polskimi, dokonują tego nie tylko grabieżą i zaborem, ale wpierw przygotowują sobie psychologiczną podstawę dla tych zbrodni w opinii świata przez rzucanie na Polskę najpotworniejszych kalumni.

To jest częściowo zrozumiałe, o ile wogóle zbrodnia i tolerancja wobec niej zrozumiała być może. Natomiast jest rzeczą absolutnie niezrozumiałą, że pewną kategoria obywateli polskich podnosi w takich okazjach, jak obecna, te wymyślone zarzuty przeciw Polsce. W tej chwili jesteśmy w pełni świadkami tego nieludzkiego wprost zjawiska. Niech tylko powie się coś wyraźniej na temat przyszłych potrzeb Polski, czy granicznych, czy gospodarczych, czy innych — teraz, w okresie tak zwrotnym i tak decydującym — natychmiast ze strony pewnych grup obywateli polskich podnoszą się "głosy opamiętania". Natychmiast wyjeżdżają Berezy i Brzeście, pacyfikacje Małopolski i pogromy żydowskie, Beck i polski totalizm, polski faszyzm i "ograbienie" Czechosłowacji z Cieszyna. Plastycznie wygląda to w ten sposób, że istnieją pewne grupy teraz już nie tylko wrogów naszych, ale naszych obywateli, którzy niewypuszczają biczów z rąk. Niech się tylko ośmielą Polacy upomnieć o jakieś swoje prawa, natychmiast bicze idą w ruch: "A spokornieć, nie łaska, faszyści i hitlerowcy!" Ci ludzie nie boją się przeinaczać prawdy, wydymać zjawisk ponad miarę, fałszować historii, nie boją się tego, że ktoś może porównać stopień "nieprawości" polskich z tą samą kategorią zjawisk w innych krajach, nie wyłączając największych i najdemokratyczniejszych, i ukazać dysproporcję przewin na przygniatającą korzyść Polski.

Obmierzłe widowisko. Dochodzi do tego, że przychodzi ochota zacząć sporządzać listy tych szkodników, czy niepoczytalnych, którzy tak straszliwie dziś męczoną Polskę jeszcze i ze swej strony domęczają.

Lecz sam powrót Polski, z otrzymaniem przez nią najobronniejszych nawet granic, nie wyczerpuje i nie załatwia całego zagadnienia. Na przestrzeni ostatnich stuleci teren wschodni i zachodni bezustannie się wiązał i całkował, teren środkowy dzielił się tylko i różniczkował. Nie bez udziału sąsiadów biegły równolegle dwa procesy: budziły się tu sztucznie popędzane narodowości różnych szczepów i plemion i rozpętywały się nienawiści jednego narodu do drugiego, bez najmniejszych istotnych powodów i w takich nawet wypadkach, kiedy pewne narody żyły dotychczas ze sobą przez całe stulecia w najbliższym związaniu i unii. Najzręczniejsi politycy, zwłaszcza niemieccy łożyli w to całą swoją inteligencję, aby stwarzać powody różnic i "niewyrównywalnych przedziałów" tam, gdzie najmniejszych różnic nie było.

Ten bieg spraw, jeśli ma być przekreślony plon roboty niemieckiej i przywrócona równowaga Europy, musi być odwrócony i włożony we właściwe łożyska. *Ogniwo trzecie europejskiej równowagi, ogniwo środkowe składać się musi nie z jednego państwa, ale ze wszystkich tych państw, których istnieniu i całości zagraża imperializm któregokolwiek z wielkich sąsiadów.* Wszystkie państwa tego terenu, leżącego pomiędzy Niemcami i Rosją, muszą stworzyć zwarty blok polityczny i gospodarczy, tym wyższy i więcej obiecujący dla przyszłości, że spojony nie siłą, nie dążeniami imperialistycznymi ale *d o b r o w o l n y m i* decyzjami.

Złe podszepty naszych wrogów nietylko w przeszłości wichrzyły tu i waśniły. Ta fatalna spuścizna podsycania waśni nie przestaje działać i dzisiaj. Ledwo zjawiły się trochę jaśniejsze perspektywy wojny, ledwo drobna zaświeciła nadzieja na zbliżanie się końca ,już piękne postanowienia solidarności i wspólnoty zaczynają ustępować miejsca dąsom, prestiżom i małym gierkom niepoprawnych polityków, których jedynym przymiotem jest to, że w przeszłości dziesiątki razy stawiali złe diagnozy.

Mam przekonanie, że sprawa wiązań środkowo-europejskich w ostatnich miesiącach nie tylko została zahamowana, ale wprost cofnęła się. Przebąkuje się wyraźnie, że

pomysły te przestają być aktualne. Jak zawsze, w chwilach, kiedy się wydaje, że niebezpieczeństwo minęło, słabość ludzka przestaje widzieć problemy zasadnicze, a chwyta się i spekuluje na małe, doraźne korzyści. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że ludzie, którzy dziś odbiegają idei zrodzonych w okresie pierwszych straszliwych miesięcy wojny, idei łączenia się i konstruktywnej organizacji — przygotowują własnymi rękami nowy chaos, nowe katastrofy, choć by nie wiadomo jak wielkie słowa tę perspektywę zasłaniały i choćby niewiadomo jak błyskotliwe zalecali koncepcje.

Postawmy sprawę jasno i brutalnie. Rzeczą, która przekreśla w naszych oczach wielką ideę zbratania i solidarności narodów środka Europy — są sprawy prestiżowe, sperandy na odosobnione karjery. Nikt nie chce zacząć pierwszy, każdy boi się, żeby na tych sprawach inny nie zrobił większego interesu, albo w przyszłych związkach nie wysunął się na czoło. Jawni i ukryci wrogowie judzą i szczują, wzniośli ideologowie, diabli wiedzą z pod czyjego znaku, ale z polskiego paszportu denuncjują Polskę, że ona, imperialistka, chce wszystkich innych czymprędzej wziąć pod swoją kuratelę i ucisk, a pisma bratnich narodów to skwapliwie i zjadliwie przedrukowują.

Wszystko to wygląda na niepoważne błazeństwo. Czytałem przed kilku dniami tłumaczenie artykułu wybitnego litewskiego polityka, który z całą powagą kilkakrotnie zaznacza, że winę za niesnaski polsko-litewskie ponosi tylko Polska, ponieważ Litwa uporczywie domagała się połączenia z Polską . . . we wrześniu 1939 roku. Zdarza mi się również znajdować takie wątki w publikacjach czechosłowackich, które wskazują, że przecież naczelni politycy Czechosłowacji w okresie przed wkroczeniem wojsk niemieckich pisali do Prezydenta Polski specjalne listy i wezwania o sojusz i związek. Nie silę się na układne i ostrożne słowa. Przeciwnie, używam słów wyraźnych: Napewno nie są w tej chwili czasy po temu, aby bawić się tego rodzaju przelewaniem z pustego w próżne. Sprawa jest jasna. Niepodległość i siła Polski gwarantuje niepodległość i siłę Czechosłowacji, Litwy, Łotwy, Estonii i szeregu innych państw, akurat w tym samym stopniu, w jakim niepodległość Czechosłowacji gwarantuje niepodległość Polski i innych państw tego regionu.

Ponieważ zabrnęliśmy znowu w kabałę drobnych komeraży i nikt nie chce zacząć pierwszy, wydaje mi się, że zacząć pierwsza powinna Polska. Nie, nikt nikogo nie chce brać pod kuratelę i wyzysk; jeśli ma być mowa w tym przyszłym związku całego środkowego pasa Europy o pierwszeństwie — to chodzić będzie o pierwszeństwo w podniesieniu zbawczej idei, o pierwszeństwo w pracy, w inicjatywie, w jasności myśli i — nawet — pierwszeństwo w przekonywaniu małodusznych i prestiżowców o absolutnej bezinteresowności. Jeszcze się wojna nie skończyła, a już się zapomina, że w ciągu 25 lat dwa razy nie wolność, ale *biologiczne istnienie* tych wszystkich państw pasa środkowego wisiało na bardzo cienkiej nitce przypadku. Że nikt z odpowiedzialnych ludzi nie może brać na siebie odpowiedzialności za dopuszczenie do trzeciej takiej próby, ale musi zrobić wszystko, żeby trzecia próba była wogóle niemożliwa, a gdyby mimo wszystko przyszła, żeby miała dostateczną obronę.

Scisłe, bliskie, organiczne powiązanie całego terenu pomiędzy Niemcami i Rosją w jeden zwarty blok polityczny i gospodarczy wydaje się koniecznością nieuniknioną.

(Dokończenie obok)

Taki to jest powrót Polski. Powrót do możliwości życia i wpływania na równowagę polityczną Europy. Rozumiemy go nie jako powrót samotny, ale jako powrót wspólny. Gdyby artykuł niniejszy był napisany przez Czechosłowaka, i w czechosłowackim został umieszczony piśmie, powinien mieć tytuł "Powrót Czechosłowacji", w litewskim "Powrót Litwy". I tak samo powinien być rozumiany: *że jest to powrót do uchwycenia mocno w ręce losu swego narodu przez związek i solidarność z innymi.*

STANISŁAW KOWALSKI

AL. DEM.

ŻYJEMY . . . W DEMOKRACJI

OPIERAJĄC się na deklaracjach Rządu Polskiego, nie można mieć najmniejszej wątpliwości, że stoi on bezwzględnie na gruncie demokratycznym. Świadczy o tym zarówno deklaracja programowa Rządu, jak i wielokrotne oświadczenia Premiera i poszczególnych Ministrów.

Skoro jesteśmy demokracją, wypada zastanowić się pokrótce, jaką treść wkłada się w naszej epoce w to pojęcie.

Ocena czy jakieś państwo jest demokratyczne czy nie, zależy od szeregu czynników, a niekiedy ulega nawet dość poważnym zmianom. Sięgnijmy do przykładów ostatniej doby.

W opinii niektórych kół alianckich jeszcze w przededniu obecnej wojny prezydent Vargas uchodził za dyktatora. Wprawdzie nie przestał rządzić, nie zmienił ani jednego przecinka w nowej konstytucji brazylijskiej — tym nie mniej Brazylia jest w tej opinii, od paru miesięcy, ponad wszelką wątpliwość państwem demokratycznym. Podobnie rząd gen. Metaxasa w Grecji okazał się demokracją. Odwrotnie natomiast Finlandia, która była wzorem demokracji do roku 1941, obecnie uchodzi raczej za państwo niedemokratyczne, pomimo, że ustrój jej nie uległ zmianie i w rządzie fińskim nadal zasiadają socjal-demokraci. Również fakt, że rząd duński jest socjal-demokratyczny nie ocalił opinii tego kraju jako państwa demokratycznego po kwietniu 1940 r. Jugosławia jest dziś w oczach zachodu niewątpliwą demokracją. Sprawiła to zamiana regenta Pawła na króla Piotra. Konstytucja Stalinowska wydawała się demokratyczna w pierwszej połowie 1939 r. W końcu roku 1939 i w ciągu roku 1940 czytaliśmy niejednokrotnie w prasie aliantów że Sowiety są krajem czerwonego totalizmu. Pogląd ten uległ sprostowaniu począwszy od roku 1941 i obecnie Związek Sowiecki jest jedną z wielkich demokracji. Podobnie demokratyczne są Chiny. Persja stała się demokracją od czasu abdykacji szacha Rhezy-Chana, na rzecz jego syna.

Sądzimy, że przykłady te wystarczą, aby uzmysłowić różnicę pomiędzy doktryną a życiem.

Deklaracje demokratyczne nie zawsze wystarczają. Mussolini oświadczył przed kilku laty, że jedynym krajem prawdziwie demokratycznym są faszystowskie Włochy, a Hitler niejednokrotnie podkreślał głęboką demokratyczność ustroju nacjonal-socjalistycznego. Nie można jednak powiedzieć aby ktokolwiek dał wiarę tym oświadczeniom.

Nieco odmiennie przedstawia się pogląd na demokracje wyznawany przez niektóre koła żydowskie. Kryterium tutaj jest znacznie prostsze. Cechą wyróżniającą demokrację w pojęciu tych kół jest kierowanie się w polityce względami na ich interesy, a nie na interes danego kraju.

Nie kusimy się o danie naukowej definicji demokracji, lecz chcielibyśmy wskazać na najbardziej obiektywne i, naszym zdaniem, najważniejsze jej cechy.

Podstawą demokracji jest równe stanowisko wobec prawa wszystkich obywateli bez względu na warstwę społeczną z jakiej pochodzą i na środki materialne, jakimi rozporządzają. Z tej zasady wynika w polityce, że rząd musi mieć oparcie i kontrolę opinii społecznej, że może być zmieniony pod jej naciskiem, a wykonywanie władzy jest tak podzielone, by nikt nie mógł stać się panem życia i śmierci współobywateli.

W każdym państwie istnieć wszakże musi instytucja z natury swej niedemokratyczna lecz autorytatywna: jest nią armia. To też demokracje wykazują szczególną dbałość o to, by siła i hierarchiczna struktura armii nie zaciążyły w sposób decydujący na życiu politycznym. W dyktaturze albo partia rządzi armią albo armia rządzi państwem. W demokracji ludzie wyłoniemi przez ruchy polityczne kierują polityką, natomiast organizacja armii i dowodzenie nią pozostawione są całkowicie czynnikowi wojskowemu. W ten sposób na generałów nie spada odium błędów politycznych, nie są oni wciągani — przynajmniej technicznie — w walki polityczne, a względy polityczne nie ciążą na technice wojowania.

Polska posiada ustrój demokratyczny od września 1939 r. Wprawdzie obowiązuje nadal Konstytucja, dającą pełnię władzy Prezydentowi i odpowiedzialnym przed nim ministrom, ale duch prawa uległ zasadniczej zmianie. Rząd składa się z przedstawicieli różnych kierunków politycznych. Wprawdzie władze stronnictw politycznych nie znajdują się w Londynie — z wyjątkiem Stronnictwa Narodowego, które właśnie do rządu nie wchodzi, — ale rząd uważa się za przedstawicielstwo "*Jedności Narodowej*". Co więcej: przewagę w rządzie posiadają stronnictwa lewicowe. Wprawdzie n.p. socjaliści duńscy podporządkowali się bez walki Niemcom, socjaliści szwedzcy podporządkowali swą politykę niemieckiej, socjaliści fińscy współpracują z Trzecią Rzeszą, jeden z szefów socjalistów belgijskich, De Man, poszedł pierwszy na współpracę w ramach "nowego ładu europejskiego", filarem kolaboracjonistów francuskich są socjaliści z Deat na czele, ale u nas udział stronnictw lewicowych uważany jest za gwarancję demokracji. Wprawdzie nawet w Polsce zastąpienie poprzedniego ustroju rządami pomajowymi udało się w znacznej mierze dzięki czynnemu poparciu socjalistów — ale działo się to już bardzo dawno . . .

Gdyby Polska nie została demokracją po wrześniu 1939 r. groziłaby jej kontynuacja poprzedniego ustroju. A więc powtórzenie najbardziej rozkładowych cech: wmieszanie

armii do polityki i zaniedbanie problemu przygotowania wojny oraz niszczenie sił społecznych przez rozbijanie istniejących organizacyj. Przypomnijmy sobie te stosunki tak odmienne od obecnych.

Wódz naczelny stojący na czele ożywionej doskonałym duchem armii, obracał swoje wysiłki by zostać pierwszą osobą w państwie. Wielka władza Prezydenta złożona była na barki człowieka słabego, który przed ofenzywą Naczelnego Wodza bronił się swoją pozycją formalną. Co gorszą, do tej rozgrywki wciągniętych zostało szereg wyższych wojskowych, a dyskusje przenikały aż do szeregów armii. Rząd nie opierał się na żadnym żywym ruchu politycznym, lecz na sztucznym obozie "*Zjednoczenia Narodowego*". Aby się utrzymać przy władzy, usiłował niszczyć żywe ruchy polityczne, wyłamując z nich, niewybrednymi przeważnie metodami, drugorzędnych lub wyranżerowanych działaczy, a pozbawiając środków do życia i niszcząc wszelkimi innymi metodami opornych. Jakież dalekie to było od atmosfery *fair play*, która znamionuje obecną demokrację! Nie rzadko posuwano się jeszcze dalej, stawiając najuczciwszym grupom niedorzeczny, a zatruwający atmosferę polityczną zarzut obcych agentur. W ten sposób "*Zjednoczenie Narodowe*" robione było przy pomocy nie reprezentujących nic, fikcyjnych, narodowców czy socjalistów.

Jak wiemy z historii, zły ustrój i złe obyczaje ciążą na życiu społecznym nawet po swoim upadku i kształtują według swoich wzorów następne ustroje. Tym więcej przeto dobrze się stało, że Polska zerwała całkowicie z wzorami sanacyjnymi i próżno by szukać w stosunkach obecnych jakiejkolwiek analogii do smutnego minionego okresu.

Popuśćmy na chwilę wodze fantazji i wyobraźmy sobie coby mogło nastąpić, gdyby rząd nie poszedł drogą demokracji. Oto władza wojskowa i cywilna połączona w jednym ręku robiłaby z wodza polityka, albo co gorsze na odwrót. Wódz byłby nietylko przedmiotem ustawicznych depesz hołdowniczych, deklamacyj dziękczynnych, portretów i niezliczonych ilości fotografij, lecz utożsamiałby siebie z Krajem. Pisałoby się o nim przez duże litery na każdej stronicy urzędowej gazety. Najbliższe otoczenie wodza stanowiliby prawdopodobnie nie poważni politycy, ale nieznane ogółowi i nierzadko zagadkowe postacie. Otoczenie to miałoby wpływ decydujący na bieg polityki polskiej, a rząd i ciało przedstawicielskie sprowadzonoby do roli drugorzędnej. Cała polityka zagraniczna znalazłaby się w ręku premiera, a M.S.Z. spadłoby do roli aparatu administracyjnego, zachowując na osłodę część funkcji reprezentacyjnych. — Mogłoby dochodzić nawet do tego, że najbardziej wiążące akty państwowe, jak n.p. traktaty międzynarodowe, byłyby zawierane na własną odpowiedzialność szefa rządu   Uczciwa i jawna krytyka mogłaby być uniemożliwiona drogą cenzury rządowej, której Konstytucja kwietniowa dawała wolną rękę pod pozorem stanu wyjątkowego. Czyż trzeba dodawać, że w tym systemie rozwinęłaby się inwigilacja obywateli do nienormalnych rozmiarów? Nie trzeba być zbyt przewidującym, aby odgadnąć skutki takiego stanu rzeczy; w krótkim czasie cała opinia publiczna zwróciłaby się przeciw rządowi tym ostrzej, że nie mogłaby znaleźć ujścia w jawnej krytyce. Wyobraźni czytelnika pozostawiamy dalsze rozważania.

Jak dobrze, że uniknęliśmy tego wszystkiego i że żyjemy w ustroju demokratycznym, zagwarantowanym przez tylekroć powtarzane deklaracje rządowe.

AL. DEM.

NOTY I UWAGI

FRANCJA WRACA . . .

Żeby zdać sobie dokładnie sprawę z przebiegu wydarzeń politycznych związanych z przemianami w francuskim życiu politycznym, trzeba dokładnie studiować najpoważniejszą prasę angielską, bo tylko ta śledzi te przemiany ze zrozumieniem. Na tym miejscu z natury rzeczy ograniczyć się musimy do notat.

Sądzimy więc, że opinia i polityka polska powinny mieć na uwadze, że nie podział i porachunki między Francuzami, ale jednoczenie ich po naszej stronie w tej wojnie służą i naszym celom wojennym. Po wtóre nie trzeba być naiwnym i sądzić, że sprawdzianem patriotyzmu francuskiego jest wykrzykiwanie na Darlana i innych polityków i wojskowych, organizujących obecnie politycznie Imperium francuskie po stronie naszej koalicji.

Trzeba się z tym zgodzić, że o polityce francuskiej decydują *Francuzi*. Ta polityka ma na swoim rachunku ogromne błędy — i przedwojenne i wojenne — nie mniej jednak nie mogą za Francuzów prowadzić polityki francuskiej ani Brytyjczycy ani Amerykanie ani Polacy. Chodzi o to, żeby politykę francuską uzgodnić z polityką koalicji antyniemieckiej, a nie podporządkować ją komukolwiek.

Polityka rządu w Vichy oparta była na błędnym założeniu, że w czerwcu 1940 r. wojna została przegrana. Można przytaczać ich argumenty (przed wszystkim ówczesna postawa Ameryki), można przytaczać nasze. Ale nie ulega wątpliwości, że w tym czasie nie tylko rząd w Vichy, ale i duża większość narodu francuskiego kapitulowała moralnie. Inicjatywa gen. de Gaulle była i mężna i szlachetna, ale praktycznie była ona tylko *symbolem* dalszej walki, a nie samą walką narodu (oczywiście przez to nie chcemy pomniejszyć i dużych wkładów wojenno-materialnych ruchu gen. de Gaulla do wspólnej puli wojennej). W każdym razie wyszukiwanie za wszelką cenę "złych" Francuzów (pomijamy tu kwestię zdecydowanych germanofilów i zdrajców) ma tyleż samo w sobie sensu, co wyszukiwanie za wszelką cenę "dobrych" Niemców. Może największym błędem politycznym de Gaulla — i bardzo znacznej części opinii brytyjskiej, amerykańskiej i polskiej — było kwestionowanie *dobrej wiary* tam, gdzie były tylko *błędy*. Doprowadziło to do zapamiętałości ze strony tych Francuzów, którzy trwając przy rządzie Vichy uważali, że służą Francji.

Ostatnio doszło do dalszych błędów i to z obu stron. Gen. de Gaulle w mowie swojej w Londynie, wygłoszonej w czasie rozwijania się wypadków w Afryce Północnej, pominął nie tylko Darlana, ale również i gen. Giraud, który przecież nigdy nie złożył broni. Jest to tym ważniejsze, że Giraud jeszcze z twierdzy w Koenigstein napisał w liście do kombattantów, że wolność Francji musi wyjść z inicjatywy wewnętrznej i z terenu francuskiego. Szlachetna to ambicja i nie wolno jej wartości dla zwycięstwa ogólnego obniżać.

Darlan znowu ze swej strony, trwając w zapamiętałości, nie zdobył się na żaden gest wobec de Gaulle'a, który przecież zrobił wiele dla utrzymania imienia francuskiego w świecie i dla wysiłku wojennego mającego na celu uwolnienie Francji. Natomiast w stosunkach miejscowych — w Afryce Północnej — Darlan zyskał bardzo wiele przez oświadczenie, że nie objąłby stanowiska reprezentującego suwerenność francuską, gdyby ta suwerenność nie miała być *całkowita* . . . Jeśli za miarę w przyszłości weźmiemy niezależną opinię francuską, okaże się, że Darlan taktycznie postawił się w sytuacji lepszej, niż de Gaulle. O rzeczy samej zaś niech mówią czyny, jak słusznie wyraził się o Darlanie Lord Halifax w Waszyngtonie . . .

Trzeba też rozumieć Dowódcę amerykańskiego w Afryce, za którym zresztą stał Rząd amerykański. Nie czas wadzić się o precedencje, gdy wynik wielkiej akcji jest w grze. A zresztą politycznie o to właśnie chodzi, żeby na naszą stronę przechodziły *nowe siły*, dotąd neutralne, a nie żeby dla względów doktrynalnych rzucać je przeciw sobie.

Najdziwniej w tej całej historii wygląda ta część opinii w Krajach sprzymierzonych, która entuzjazmuje się sojuszem z Sowietami, a równocześnie zwalcza Darlana. Ostatecznie Mołotow w swoim czasie również układał się z Niemcami, zawierał traktaty, nawet nie pod przymusem bynajmniej, przyjmował wizyty niemieckie w Moskwie i sam złożył wizytę w Berlinie. A dzisiaj Sowiety są tak wpływowym członkiem koalicji antyniemieckiej . . .

Powtarzamy cośmy powiedzieli na początku. Ten kto Francji dobrze życzy i rozumie znaczenie jej dla wygrania tej wojny, powinien cieszyć się z jednoczenia się patriotów francuskich, smucić z ich rozbicia. W każdym zaś razie powinien cieszyć się, że Francja wraca.

SUWERENNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ

Charakterystyczna dla polityki amerykańskiej jest deklaracja, jaką pierwszy amerykański Konsul Generalny w Libanonie złożył przy wręczeniu listów Prezydentowi Naccachowi (Libanon, jak wiadomo otrzymał niepodległość narazie *pro futuro*, kiedy wojska brytyjskie i sprzymierzone francuskie zajęły Syrię). Deklarację tę podaje *The Times*:

"Kładę nacisk na słowa Prezydenta Roosevelta, iż nominacja moja wyraża intencje Rządu Amerykańskiego okazania sympatii dążeniom narodu libanońskiego do *suwerennej niepodległości*".

Więc nawet Libanon ma otrzymać niepodległość i suwerenność. Tylko w środowisku polskim znajdą się jednostki, które myślą, że nam suwerenność jest niepotrzebna.

GŁOSY CZESKIE . . .

Polityczne i publicystyczne wystąpienia niektórych przedstawicieli Rządu Republiki Czechosłowackiej, lub niektórych innych wybitniejszych osobistości czechosłowackich, często z natury rzeczy dotykają spraw polskich. Ostatnie wystąpienia dostarczyły szczególnie wiele interesującego materiału w tej dziedzinie i dlatego "*Myśl Polska*" uważa za swój obowiązek wystąpienia te notować — dla tym lepszego poinformowania opinii polskiej teraz i na przyszłość. Szczupłość miejsca każe nam dokonywać w tych wypadkach wyboru cytatów najważniejszych.

Pierwszeństwa należy udzielić ministrowi dr. Hubertowi Ripce, który jest członkiem Gabinetu czechosłowackiego w Londynie i kieruje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych działem Informacji (Ministrem Spraw Zagranicznych jest Jan Masaryk . . .).

Mówiąc na konferencji urzędników czechosłowackiego M. S. Z., min. Ripka tak określił politykę zagraniczną Czechosłowacji ("*Czechoslovak*" z 9.X.1942):

"Na przyszłość politykę naszą kreśli nam nasze położenie geograficzne: jesteśmy łącznikami między Zachodem a Z.S.S.R. Nie chcemy opierać się o jedno mocarstwo, chcemy się oprzeć o Zachód i Wschód. W zagadnieniu konfederacji jesteśmy wstrzemięźliwi, nie wiemy jaka będzie sytuacja w poszczególnych państwach. Zagadnienie bloków jest zagadnieniem międzynarodowym, które będzie decydowane głównie między mocarstwami; dlatego musimy być wstrzemięźliwi".

W dniu 7 października b. r. min. Ripka wygłosił dłuższe przemówienie w Klubie "*Czechoslovak British Friendship-Club*", które zostało ogłoszone w "*Czechoslovaku*" z 16.X. 1942. W przemówieniu tym min. Ripka oświadczył o czechosłowackiej polityce zagranicznej m. i. co następuje:

"Owszem, z niektórymi narodami będziemy w bliższych i bardziej przyjaznych stosunkach niż z innymi; o tym zawsze decydują czynniki zasadnicze, jakimi są położenie geograficzne, względy państwowe, warunki bezpieczeństwa oraz powinowactwo polityczne. Dlatego samo przez się rozumie się, że posłuszni głosowi dziejów i dbając o żywotne interesy narodu, dążymy i zawsze będziemy dążyć do związków sojuszniczych ze Związkiem Sowieckim, który geograficznie jest nam najbliższy z wielkich mocarstw, jak też i z mocarstwami zachodnimi; dlatego też życzymy sobie bliskiej współpracy z mniejszymi narodami naszego regionu geograficznego, zwłaszcza z narodem polskim, zachowując naturalnie tak długo wstrzemięźliwość wobec różnych z nadmiernym rozmachem kreślonych planów federacyjnych, dopóki nie zarysują się realniej konkretne wyniki wojny i możliwości polityczne, które z nich wynikną".

Nie można nie zauważyć, że wywody min. Ripki zbliżają czechosłowacką politykę zagraniczną o wiele bardziej do Sowietów, niż do Polski. W wywodach tych zajmujemy miejsce trzecie wśród innych nieokreślonych "narodów mniejszych", Sowiety pierwsze.

Jeszcze bardziej pragnie zbliżyć Czechosłowację do Sowietów inny polityk czeski, a mianowicie niedawny przewodniczący czechosłowackiej Rady Państwowej w Londynie, przywódca czeskich socjalistów, Rudolf Bechyne. W piśmie "*Nowa Svoboda*" (Nr. 9 z września 1942, Londyn) socjalista czeski sławi sowieckie umiłowanie "wolności, demokracji i solidarności ogólnoludzkiej" i takie wysnuwa wnioski z faktu, że jesteśmy w jednym obozie wojennym z Sowietami:

"Co uczyni lud innych narodów, to jego sprawa najważniejsza. My Czesi i Słowacy — takie jest moje osobiste przekonanie — musimy twarz w twarz z tragicznymi doświadczeniami starej i nowej historii szukać więcej, aniżeli zwykłej umowy przyjacielskiej z Związkiem Sowieckim, to jest musimy szukać stosunku *prawno-państwowego* do niego — i to w interesie naszej narodowej wolności i samodzielności, w interesie naszych najdroższych duchowych i moralnych wartości. Jeżeli gotowi jesteśmy zrezygnować dla federacji czechosłowacko-polskiej z niektórych atrybutów suwerenności państwowej, to tym chętniej pójdźmy na całą robotę i postawiwszy sobie wielką, odważną ideę — dążąc do okazania się godnymi nowej historycznej sytuacji, w której ocknęliśmy się — uczyńmy dla niej, co gotowi jesteśmy uczynić dla tamtej."

Innymi słowy przywódca czeskich socjalistów zaleca na miejsce konfederacji z Polską przystąpienie Czechosłowacji do Związku Sowieckiego. Nie zajmujemy się tu oceną, o ile te zamysły są realne. Chodziło nam tylko o zanotowanie, co niektórzy Czesi w 1942 r. w Londynie pisali o mówili w sprawach nas obchodzących.

PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ

W cytowanej wyżej mowie min. Ripki w "*Czechoslovak British Friendship-Club*" dostojnik czeski poruszył również sprawę traktatu w Monachium w 1938 r. oraz kwestię Śląska Zaolziańskiego. Dwukrotnie już poruszaliśmy ostatnio w "*Myśli Polskiej*" (Numery: 30 i 35) sprawę traktatu w Monachium, więc ograniczymy się do cytatu i paru słów o Śląsku Zaolziańskim. Oto co min. Ripka powiedział:

"Formalna likwidacja Monachium przez Rząd Brytyjski oraz Francuski Komitet Narodowy dała narodowi czechosłowackiemu konieczną satysfakcję moralną i polityczną za krzywdy mu wyrządzone; a ponadto Rząd Sowiecki i Francuski Komitet Narodowy wyraźnie się oświadczyły za przedmonachijskimi granicami Republiki, przy czym Rząd Brytyjski choć się co do nich nie zobowiązuje, niezobowiązuje się również w sprawie jakichkolwiek granic w Europie Środkowej, jednakże ich dosłownie nie odrzuca jako podstaw dla ostatecznego nakreślenia granic po wojnie. Pozostaje nam załatwić sprawy monachijskie, o ile dotyczą Polski. Rozumie się samo przez się, że i o to się staramy i starać będziemy. Ufamy, że Polska uczyni to samo, co po prawie i sprawiedliwości uczyniły wzmiankowane państwa".

Jako wyraziciele całej chyba w tym wypadku opinii polskiej pozwolimy sobie pochwalić tu min. Ripkę za użycie słów *prawo i sprawiedliwość*. Albowiem Śląsk Zaolziański został Polsce zabrany przez Czechosłowację w latach 1919-1920 wbrew zasadom zawartym w tych pojęciach. Więc też nie należy sprawy Śląska Zaolziańskiego łączyć ze sprawą Monachium. Sprawa ta ma bowiem swoje oddzielne *prolegomena*, bardzo ciekawe i istotne. Polska w Monachium nic nie podpisywała, natomiast była świadkiem, jak ówczesny Rząd Czechosłowacki podpisywał, a raczej odpisywał, ze swego obszaru znaczne części na rzecz Niemiec. To samo grozić mogło wtedy, lub później, i Zaolziu, które jest polskie i zlane, szczególnie teraz, polską krwią w walce z Niemcami.

NOWE PISMO . . .

Do szeregu pism w języku polskim w W. Brytanii przybyło jeszcze jedno, które jednakże nie jest polskie. Jest to pismo rosyjskie, redagowane w duchu ideologii komunistycznej i służące celom polityki państwa rosyjskiego. Pisemko nazywa się *Jedność i Czyn* i zawiera szereg tekstów po angielsku.

Trudno polemizować z takim pismem, gdyż gdyby nawet ktoś tej dyskusji życzył sobie, to już lepiej podyskutować z gospodarzem, niż z parobkiem, jak to mawiają w takich okazjach chłopi polscy. Na pewne jednak tematy nie ma dla Polaków w ogóle dyskusji.

Można jednak i należy pewne rzeczy zanotować. Redaktorzy dobrze wyszkoleni, ale mimo to zdradzają zasadniczą nieznajomość języka polskiego. Po polsku nie mówi się "wspólne *wypięcie* sił wszystkich sojuszników", bo po polsku wypiąć można nie siły, lecz zupełnie co innego . . . Nie mówi się również po polsku "radziecki", bo takiego słowa w języku polskim nie ma. Niektórzy tylko lekkomyślni Polacy używają tego słowa w znaczeniu "sowiecki", zapominając, że idzie o pojęcie tak najściślej rosyjskie, iż nie zachodzi potrzeba tłumaczenia go na polskie. To co rosyjskie, niech zostanie przy Rosji i niech występuje pod swoją własną nazwą . . . Obecne państwo rosyjskie dla Polaków i w języku polskim pozostanie zawsze Związkiem Socjalistycznych Sowieckich Republik, a nie Związkiem Republik Radzieckich. Z.S.S.R. a nie *Z.S.R.R.* !

Treści nie ma co notować. Nazwisko Wandy Wasilewskiej mówi samo za siebie. Interesujące jest przytaczanie głosów polskich. Z całej polskiej prasy i publicystyki tylko miesięcznik "*Nowa Polska*" ("życzymy wydawnictwu, aby odegrało pozytywną rolę w budowaniu antyfaszystowskiej jedności Polaków") i — indywidualnie — Pruszyński zostali pochwaleni. Szczyrek natomiast został raz tylko pochwalony, a raz zganiony. Oczywiście społeczeństwo polskie nie będzie się orientować wedle tych pochwał czy nagan, gdyż społeczeństwo polskie może sobie wyrobić sądy samo bez inspiracji obcej. O pojęciach zaś, jakie środowisko *Jedności i Czynu* ma o stosunkach wewnętrzno-polskich, najlepiej powie następujący cytat z nowego pisma:

> "*Robotnik*" grzmi w każdym numerze na polskich faszystów, a "*Myśl Polska*" organ polskich Mosleyowców (angielscy już są za kratkami), drwi sobie w każdym numerze z tych gromów, z oficjalnego wyznania polskich socjalistów, mających dwu ministrów w Rządzie, że są w stosunku do nich bezsilni. Nie wierzymy, aby nie było rady na naszych faszystów. Trzeba tylko chcieć naprawdę!"
>
> *Tonkoje dieło, graždanie* !

TAKTYKA ŻELAZNEGO DRĄGA

Dla naszych czytelników studiujących zagadnienia wojenne notujemy tu ciekawe wypowiedzenie się głównodowodzącego na Średnim Wschodzie gen. Alexandra o bitwie pod El Alamein. Gen. Alexander oświadczył więc, że w przeciwstawieniu do poprzedniej wojny obecnie natarcie ciągle jeszcze ma wyższość nad obroną. Co się zaś tyczy samej bitwy, gen. Alexander przedstawił ją bardzo obrazowo:

"Wygląda to jak łamanie ściany drągiem żelaznym. Wbija się ten łom tak głęboko, jak tylko to możliwe; następnie porusza się nim w jedną i drugą stronę, aż powstanie mała dziura. Powiększa się ją, i jak tylko ten otwór w nieprzyjacielskich umocnieniach jest dostatecznie duży, rzuca się weń dywizje pancerne w celu zgruchotania nieprzyjacielskiej artylerii i linii komunikacyjnych. Niemcy pokazali nam jak to się robi w czerwcu 1940. Nie ma więc porównania z poprzednią wojną, kiedy prowadzono natarcia z ograniczonymi jedynie obiektami do osiągnięcia".

JAKI INTERNACJONALIZM?

Głośny polityk amerykański Wendell Willkie wypowiada często zdania, świadczące o czysto amerykańskim nieliczeniu się z wielu realiami międzynarodowej rzeczywistości politycznej. Nie oszczędza jednak przytem i samej Ameryki i to świadczy o szczerości, z jaką występuje. W radiowej ankiecie zorganizowanej niedawno przez *New York Herald Tribune* Willkie powiedział:

"Nie zrealizuje się czterech wolności przez deklaracje tych, którzy aktualnie są przy władzy. Staną się one realne jeżeli ludy świata przekują je na rzeczywistość. I nie zrealizuje ich internacjonalizm polityczny. Prawdziwa wolność musi polegać na internacjonalizmie ekonomicznym".

Nic słuszniejszego nad te słowa. Odcięcie się ekonomiczne Stanów Zjednoczonych od świata po ostatniej wojnie, wysokie mury taryf celnych, zamknięcie granic dla imigracji i równoczesne drenowanie niektórych krajów europejskich z ich kapitałów przez spłatę długów wojennych — oto jedna z największych bolączek międzynarodowych w ostatnim dwudziestoleciu.

POPEŁNIŁEM BŁĄD . . .

Niech nikt nie myśli, że słowa wyrażone w powyższym tytule wypowiedziane zostały przez jakiegokolwiek polskiego ministra. Nie ! Nasi ministrowie są nieomylni i nigdy najmniejszego błędu nie popełniają, — a raczej nigdy się do błędów nie przyznają i zrobią wszystko, żeby udowodnić, że jednak mieli rację. Mam tu jeden nawet konkretny wypadek na myśli, w którym wszystko się robi, żeby błąd utrwalić.

"Popełniłem błąd" — oświadczył niedawno publicznie Prezydent Roosevelt. Oto cytat z oświadczenia jego w *New York Herald Tribune* z 17 listopada :

"Około 10 dni przed wyborami jeden z naszych lotniskowców storpedowany został na południowo-zachodnim Pacyfiku. Nie zatonął natychmiast, lecz było jasne, że nie dojdzie do portu, wobec czego został zatopiony przez nasze własne siły. W Waszyngtonie nie wiedzieliśmy, czy nieprzyjaciel świadom jest tego zatopienia, gdyż nie było w pobliżu japońskich okrętów, któreby to mogły widzieć. Trzeba zaś zdawać sobie sprawę, naturalnie, że wiadomość o stracie nieprzyjacielskiego okrętu ma bezpośredni wpływ na prowadzenie operacyj morskich w jakiś czas po zdarzeniu.

"My np. wiemy, że zatopiliśmy pewną liczbę japońskich lotniskowców i że ugodziliśmy inne bombami i torpedami. Dalibyśmy królewską cenę za wiadomość, czy te ostatnie zostały zatopione, czy też ocalone, naprawione i z powrotem oddane do linii.

"Kiedy więc dostaliśmy wiadomość o zatopieniu tego naszego okrętu, wielki problem wysunięty został w Kongresie i w organach informacji publicznej z powodu powstrzymywania wiadomości z walczących frontów. Nawet wśród czynników odpowiedzialnych zdania były podzielone.

"Tu nastąpił *mój błąd*. Ustąpiłem przed hałasem. Częściowo uczyniłem to dlatego, że gdyby wiadomość o zatopieniu podana została dwa lub trzy tygodnie później, wysunięto by zarzuty publicznie, że uczyniono tak ze względu na wybory.

"Wkrótce potem nadeszły protesty od admirałów, dowodzących w rejonie poł.-zach. Pacyfiku oraz w naszej wielkiej bazie na Hawajach, iż wedle wszelkie- go prawdopodobieństwa Flota japońska nie miała wiadomości o zatopieniu i że w ten sposób podaliśmy im informację na srebrnej tacy . . ."

"NASI ZAGRANICĄ . . ."

"Nasi zagranicą" i "nasi" wobec zagranicy oto tematy, który nasuwają często niewesołe refleksje.

Na przykład nasza lewica i lewica brytyjska. Labour Party nie jest oczywiście stronnictwem socjalistycznym w znaczeniu marksizmu, jak to ma miejsce w naszych stosunkach, nie mniej jednak analogie są duże, porównania możliwe, a różnice tak widoczne, że aż dziw, że dotąd w naszej publicystyce nieuwzględniane.

Jeden z przywódców Labour Party, minister Spraw Wewnętrznych i Bezpieczeństwa Kraju, p. Morrison, wszedł obecnie do Gabinetu Wojennego i wysunął się do pierwszych szeregów polityków brytyjskich. Czymżeż ostatnio zwrócił na siebie uwagę ? Oto wygłosił mowę radiową dla Ameryki, w której wyraźnie i bez osłonek potępił ataki na Brytyjskie Imperium. A nasza lewica ? Ideologiczny jej i programowy organ "*Nowa Polska*" postawił sobie za punkt honoru zwalczanie m.i. "idei jagiellońskiej", a ostatnio jeden z artykułów "*Nowej Polski*" został przedrukowany w całości przez urzędowego londyńskiego "*Czechosłowaka*" jako dowód, że w kołach polskich żywione są "pokusy o użyciu koncepcji federacyjnej dla celów ekspanzji tychto polskich "wielkomocarstwowych" (w oryginale w cudzysłowie : "velkomocenskych") aspiracyj".

To samo dotyczy metod w polityce wewnętrznej. Sam Sir Stafford Cripps, bożyszcze intelektualnej lewicy angielskiej, usunięty zresztą przed wojną z Labour Party za tendencje ku "frontowi ludowemu", oświadczył niedawno, iż skoro rząd brytyjski złożony jest z przedstawicieli wszystkich kierunków politycznych, nie można uchwalać ustaw reprezentujących wyłącznie program jednego tylko stronnictwa. W naszych warunkach natomiast podstawą rządu uczyniono partyjny program lewicowy, usiłując pod pozorem konieczności wojennych *wymusić* przyjęcie tego programu przez Stronnictwo Narodowe. Taki jest sens słynnej "deklaracji trzech stronnictw", która w Kraju już wyrządziła ogromne szkody, odwracając uwagę niektórych kół polskich od bezpośrednich celów wojennych i od zagadnienia granic, — a która może wyrządzić szkody jeszcze większe.

TRZYNASTU MĘŻÓW STANU

Skoro mowa o "trzynastu mężach stanu", to rzecz jasna odnosić się to może tylko do polskiej londyńskiej Rady Narodowej. Nigdzie bowiem nie ma zgromadzonych tyle mózgów pierwszorzędnych, tylu mężów wybitnych w polityce i innych sprawach publicznych, co w tej Radzie. Po prostu wszystko, co było w emigracji najmądrzejszego !

Szczególnym dowodem tej mądrości jest rozgrywana ostatnio w Radzie sprawa traktowania w Związku Sowieckim wszystkich polskich obywateli narodowości niepolskiej jako obywateli sowieckich. Okazuje się, że wszystkich Rusinów, t. j. Ukraińców i Białorusinów polskich, oraz Żydów z Polski władze sowieckie traktują jak obywateli sowieckich. Nic o tym nigdy Rząd nie mówił, a członkowie Rady choć wiedzieli, również nie mieli nic do powiedzenia.

Dopiero członkowie Rady Żydzi wskazali im drogę. Samym upomnieć się o prawa polskich obywateli — nie przyszło im do głowy. Oczywiście radcowie Żydzi uczynili to, stając w obronie swoich współplemieńców, którym się w Rosji źle powodzi. Wnieśli interpelację, którą oprócz nich podpisało trzynastu Polaków. Wszyscy razem upomnieli się o krzywdę Żydów.

A gdzież są Ukraińcy i Białorusini, panowie radcowie ? Dlaczego ich nie bierzecie w obronę ? Czy to nie synowie Rzeczypospolitej, czy im się opieka nie należy ? Czy o nich można wspomnieć tylko w łączności z Żydami, jako o anonimowych "mniejszościach narodowych" ? Czy tak się buduje p a ń s t w o ?

Co zaś do inicjatywy polityków żydowskich, to dwa momenty zasługują tu na podkreślenie. Pierwszy, że stawiają oni zarzuty Rządowi Polskiemu tam, gdzie powinni zacząć od Rządu Sowieckiego. Sprawy traktowania obywateli polskich w Sowietach znalazły się na arenie opinii międzynarodowej nie od dzisiaj. Są one ściśle związane z tekstem układu sowiecko-polskiego w lipcu 1941. Od tego czasu do dziś nie zauważyliśmy, żeby żydowskie koła wpływowe w świecie anglosaskim stanęły wyraźnie po stronie tezy polskiej, a przeciw tezie sowieckiej. Czemu to przypisać ?

Drugi moment. Wiadomo powszechnie, i min. Raczyński stwierdził to w odpowiedzi na interpelację, że pewna liczna Żydów w Polsce okupowanej przyjęła *dobrowolnie* obywatelstwo sowieckie. Trzeba to, panowie, uwzględniać w interpelacjach. Nie trzeba interpelacjami obejmować obywateli niepolskich, bo jak to wygląda ?

LIST TADEUSZA BIELECKIEGO

Znany działacz katolicki w Stanach Zjednoczonych Ks. Prałat Syski zamieścił w "*Narodzie Polskim*" artykuł, w którym powołuje się, omawiając stosunek Stronnictwa Narodowego do Rządu, na list prywatny Prezesa Tadeusza Bieleckiego skierowany do Niego.

Artykuł ten przedrukowany częściowo w prasie polskiej amerykańskiej i londyńskiej wywołał rozliczne, a nieścisłe komentarze.

Jesteśmy upoważnieni do stwierdzenia, że artykuł Ks. Prałata Syskiego nie był przedrukiem listu Tadeusza Bieleckiego do Niego, co zresztą bezstronny czytelnik mógł łatwo sam zauważyć, ponieważ Ks. Prałat Syski nigdzie nie podał dosłownego tekstu listu, a tylko swoje osobiste wrażenia i uwagi.

Prezes Zarządu Głównego Str. Nar. nie ma chyba potrzeby wyjaśniać swego stosunku do rządu gen. Sikorskiego. Nikt tak wyraźnie nie sprecyzował swego stanowiska wobec poczynań rządu emigracyjnego jak właśnie Stronnictwo Narodowe. Wystarczy przypomnieć, że ani w rządzie ani w Radzie Narodowej od roku już w górą nie zasiada nikt z pośród członków Stronnictwa.

Z PRASY I PUBLICYSTYKI

SYTUACJA WEWNĘTRZNO-POLITYCZNA W W. BRYTANII

Naogół się nią tu mało zajmujemy. Obecne jednak przemiany w światowej sytuacji militarno-politycznej sprowadziły pewne reperkusje i na gruncie wewnętrznym, którym się przyjrzeć warto. Zajęła się nimi *Truth* we wstępnej notatce :

"Zwycięstwa w Afryce zmieniły nie tylko cały aspekt wojenny, przemieniły też całe oblicze spraw domowych czy wewnętrznych. Stwierdzenie przez p. Churchilla, że nie jest on człowiekiem, któryby przyłożył ręki do likwidacji Brytyjskiego Imperium — sprowa dziło na jego głowę pioruny skrajnej lewicy i wątpliwości blado-czerwonych czy bladoróżowych. Ale też i złączyło z nim silną liczebnie mniejszość konserwatystów i liberałów ,którzy, nawet podtrzymując go jako Premiera, mieli czasem wątpliwości co do niego jako ministra Obrony.

"Mowa Churchilla w Mansion House była zbyt długo odwlekanym oświadczeniem co do przyszłej polityki. Brytyjczycy, którzy tak ochotnie rzucili wszystko w wir wojny, uczynili tak, bo spodziewali się ochrony dla swej cywilizacji brytyjskiej i cywilizacji chrześcijańskiej przed groźbą nazizmu berlińskiego. Nie postępowali tak na pewno dlatego, by ich własne dziedzictwo miało ulec podziałowi między Medów z Moskwy a Persów z P.E.P. (t.zw. Political Economic Planning-przyp. tłumacza). Wstąpili w walkę o prawa wszystkich narodów, aby ukształtować własne swe losy, a nie losy wrogów czy przyjaciół z Wschodu czy Zachodu.

"Mowa Churchilla została zadenuncjowana jako powrót do imperializmu. *Truth* i ci co podzielają nasze poglądy, witają w tej mowie bardzo potrzebną reaffirmację patriotyzmu. "Utrzymamy swoje własne" — nie tylko odnośnie terytoriów, ale — wolno się spodziewać — i odnośnie naszych obyczajów i tradycyj.

Jeżeli taką będzie polityka Churchilla, nie potrzebuje się on obawiać flankowego ognia z lewicy, bo będzie miał za sobą wielką masę Brytyjczyków, a też i zgodę wszystkich sprawiedliwych ludzi z każdego innego narodu."

Stanowisko Winstona Churchilla, nigdy poważnie nie zachwiane, uległo wielkiemu wzmocnieniu.

ANGLIA I AMERYKA

Niedawna mowa leadera partii republikańskiej Willkie'ego, podająca w wątpliwość przyszłość dotychczasowych form angielskiego imperium, by nie rzec angielskiego imperializmu, na Dalekim Wschodzie, musiała oczywiście spotkać się z cierpkim przyjęciem na łamach prasy angielskiej. *The Times* stara się wejść w mentalność amerykańską i wyrozumieć te zastrzeżenia:

"Nie można było oczekiwać, by Amerykanie, których przodkowie zerwali z Imperium Brytyjskim w 1776 r., mieli naraz bronić tego Imperium w roku 1942 — bez stawiania sobie samym i nam pytań niewątpliwie niewygodnych. Narody rzeźbią swą postać oporem przeciw czemuś zewnętrznemu, zaś to coś jest częstokroć właśnie charakterem innego narodu. Ameryka wyrosła z negacji Brytyjskiego Imperium. Jej demokracja żywiła się na tradycji anty-imperialistycznej. Kiedy Amerykanie znaleźli się nagle obok żołnierzy brytyjskich w Indiach i w Afryce i szykowali się być może do odebrania Burmy i Malajów, znaleźli się równocześnie przed koniecznością zasadniczego zwrotu w swych umysłach . Cóż dziwnego, że zgrzyty tego procesu odbiły się swobodnie w amerykańskiej prasie".

Echa mowy Willkiego nie prędko ucichną. Ze strony brytyjskiej zauważyć można dwa przejawy: mocne powoływanie się na ogromne zasługi cywilizacyjne brytyjskiego Imperium, a powtóre niewątpliwą gotowość do odpowiedzialnej współpracy z Ameryką na obszarach Pacyfiku.

SPRAWA DARLANA

Nagłe pojawienie się admirała Darlana na alianckim nieboskłonie — narobiło z konieczności dużo złej krwi w obozie generała de Gaulle'a ,a też i na angielskiej lewicy. *Times*, jak zwykle z umiarem i odważaniem każdego słowa, odzwierciedla umiejętnie opinię miarodajnych kół angielskich, a przede wszystkim brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

"W obecnych warunkach nie kto inny, tylko Zjednoczone Narody (United Nations) muszą wziąć na siebie odpowiedzialność wobec całego narodu francuskiego za swoją działalność. To co się teraz robi, musi być robione w ich imieniu jako *trustees* przyszłej Francji, której kształt i charakter są dziś nieodgadnione. Próba brytyjska, by ustanowić na zajętych francuskich terytoriach francuskie władze administracyjne podległe jednej zcentralizowanej kontroli w Londynie — nie zawsze ułatwiała administrację na miejscu. Generał Eisenhower przyjął inną linię postępowania w Afryce Północnej. Usługi Admirała Darlana dla odbudowy porządku i zaufania zostały przyjęte przez dowództwo alianckie. Zapewne ,jego bilans od roku 1940 czyni taki krok conajmniej nieoczekiwanym. Jednakże w chwili obecnej jego współdziałanie z generałami Giraud i Nogues'em jest zapewnione. Potrzeba dziś, najpilniej i ponad wszystko, nie nawet normalnej jedności wśród rozsypanych po świecie Francuzów, ale raczej zjednoczonego i efektywnego czynu francuskiego po stronie Aliantów a przeciw siłom Osi. O ile to będzie osiągnięte, przyszłość Francji jest pewna. O ile ta nadzieja się rozwieje — nie ma nic innego".

Analiza ta ze strony tak miarodajnej jak *Times*, zasługuje na baczną uwagę nie tylko Francuzów. W miarę zbliżania się z powrotem do naturalnej bazy własnych departamentów i krajów, wszystkie rządy alianckie mogą się znaleźć wobec podobnych implikacyj i powikłań. Jedynym na to środkiem zaradczym jest ścisłe, surowe baczenie, by od swych krajów na emigracji nie odbiec. Takie rozszczepienie musiałoby się surowo pomścić w chwili powrotu do kraju, albowiem wola samych poszczególnych narodów okaże się wtedy dla sprawy alianckiej najpotężniejsza.

Prawda stara jak świat. Opowiadali już starożytni, że gdy olbrzym Anteusz zbyt długo był oderwany od matki-ziemi — tracił siły. Dlatego to jego przeciwnik, zmagający się z nim, starał się go podnieść w górę, zaś on dążył wciąż do tego, by choć koniuszkiem palców ziemi dotknąć.

Prawda ta obowiązuje wciąż i dla wszystkich "olbrzymów" znajdujących się na gruncie londyńskim. Wariant jest tu tylko jeden: ziemią nie może być grunt londyński, ale jedynie odległa wciąż jeszcze ziemia rodzima. I tu leży sedno zagadnienia.

KSIĄŻKA

SYSTEM OBRONNY ODRA-WISŁA

Wprawdzie nie pod tym tytułem, ale z tezą główną odpowiadającą mu, wydał niedawno profesor Tadeusz Sulimirski niewielką rozmiarami książkę *Poland and Germany*, z podtytułem *Past and Future*. Praca ta służyć może za wzór, jakimi winny być wydawnictwa przeznaczone dla angielskiego czytelnika. W szeregu przejrzystych i niezmiernie zwartych rozdziałów zaznajamia się go z całym przebiegiem i całą wieloraką treścią tysiącletniego zmagania się Polski z naporem niemieckim. Od geografii do geopolityki jest tu droga prosta, tak jak od prehistorii i etnografii do historii i polityki.

Treść uprzystępniają — taki był zamiar autora — liczne mapki. Jest ich cała ćwierćsetka z górą. Niestety pomściły się tu warunki i zawiodła skromność szaty typograficznej. Mapki te są zbyt pomniejszone i zbyt mało przejrzyste. Czytelnik dobrze problemata książki znający, zorientuje się łatwo i w mapach. Ale obcemu czytelnikowi, t. zn. takiemu, ktoremu problematyka książki jest obca, przyniosą one mniej pomocy.

Jak się rzekło, współzależność Odry i Wisły wybija się na główny wątek książki, wciąż jej osnowę przetykający. Wątek ten podany jest w sposób niezmiernie przekonywujący. Historyczne rozważania są tu aż nadto wyraźne. Początek kariery brandenburskiej przypada na rok 1249. Do Wisły było wtedy jeszcze daleko, ale zajęli wtedy Niemcy Ziemię Lubuską, u ujścia polskiej Warty do polskiej Odry. Nie odrobiono już tego nigdy: "Była to prowincja kluczowa, która umożliwiała Polsce kontrolę nad przylegającymi do Odry terytoriami. Utrata tego najbardziej zachodniego bastionu osłabiła całą strategiczną i geograficzną pozycję Polski". Zaś znów Brandenburgia zyskała wygodną bramę wypadową do swych dalszych wschodnich podbojów.

To samo naruszenie równowagi między Odrą a Wisłą nastąpiło i na Śląsku. Z chwilą podboju Śląska przez Prusy w XVIII-ym wieku, utrata jego przez Polskę została jakby podkreślona (utrata z XIV-go wieku na rzecz Cesarstwa i Austrii, a nie Prus jeszcze). "Cała równowaga systemu rzecznego Odra-Wisła została nadwyrężona na niekorzyść Polski — po czym nastąpiła utrata niepodległości Polski na lat 123 . . ."

Nie dziw. U podstawy zdrowego organizmu państwowego leży jego zrąb geograficzny. Zwłaszcza przy polskich brakach orograficznych — górskich — owe ukształtowanie hydrograficzne — rzeczne — staje się tym ważniejsze. Profesor Sulimirski przemawia tu językiem dla Anglików zrozumiałym, bo cytuje ich własnego geografa Gordon East'a i jego książkę z 1938 r. pod wymownym tytułem: "*The Geography behind History*". "Geograficzna odrębność poszczególnych takich zon czy stref nie może być i dla historii obojętna, albowiem przedstawia ona porządek trwały i permanentny".

Zrozumieli to doskonale Niemcy, którzy właśnie w naszych oczach stworzyli włączoną w obręb Niemiec "geograficzną jednostkę obejmującą system rzeczny Odra-Wisła", konstatuje Sulimirski. Zrozummyż to i my, wreszcie! Lekcja ta musi być wyzyskana po wojnie. Basen ten nie tylko geograficznie, ale i etnicznie polski, musi — cały — znaleść się pod polską kontrolą i obroną.

. . . Pamiętam jak kiedyś, na niedługo przed śmiercią prezes Dmowski huknął przy mnie pięścią w stół i zawołał: "A ja Wam mówię; że ziemia Lubuska do Polski powróci!" Zaiste nie uważałby on dziś granicy Odry za co innego, jak proste uzupełnienie tego co uzyskał w Traktacie Wersalskim.

JUNIUS

KSIĄŻKA O PROPAGANDZIE

Nie wielka praca A. T. Lutosławskiego "O PROPAGANDZIE" nie zasługuje na zatonięcie w powodzi wydawnictw emigracyjnych. Jest to dobry, metodycznie opracowany i niezwykle jasny i przejrzysty podręcznik dla każdego, kto chce zorientować się podstawowo w tym tak dziś aktualnym dziale twórczości ludzkiej. Nie ma w książce Lutosławskiego zbędnych słów ani rozdziałów, wszystko jest przemyślane, uszeregowane i podane wraz z wielu interesującymi przykładami. Niektóre rozdziały są dla czytelnika polskiego nie tylko wręcz rewelacyjne, ale i bezpośrednio pożyteczne. Do takich należy przede wszystkim rozdział o prasie angielskiej, o historii jej powstania i stosunkach obecnie w niej panujących. Dla osób studiujących zagadnienie głębiej, a więc dla dyplomatów, dziennikarzy, wydawców, pracowników Radia, oficerów sztabowych, kierowników wielkich przedsiębiorstw handlowych lub odpowiednich działów w administracji państwowej i t.p. niezwykle cenna jest obszerna bibliografia przedmiotu, zamieszczona przez autora na przeszło czterech stronicach druku.

Nie pisząc wiele o samej książeczce, którą każdy inteligent interesujący się sprawami publicznymi powinien przeczytać, zaznaczymy tylko o samym autorze, iż był szczególnie do napisania tej pracy predysponowany i przygotowany. Powinien tym przedmiotem interesować się nadal i badać wszystkie bieżące zjawiska z dziedziny tej ważnej umiejętności ludzkiej, jaką jest propaganda. Po wojnie powinien napisać dalszy ciąg swojej książki, albo nowe zasadnicze dzieło.

Na samym końcu maleńka kontrowersja Zdaniem recenzenta słowo angielskie "news" można wcale dobrze przetłumaczyć na polskie, bynajmniej nie jako "nowa, ciekawa wiadomość" lecz po prostu "nowina", "nowinka". Wprawdzie cokolwiek inne było znaczenie słowa "nowinki" w wieku XVI, ale za to współczesny lud polski tego słowa używa w znaczeniu "news". r.

Listy do Redakcji:

"KWIATY POLSKIE"

Kilka miesięcy temu — w malarycznych tajgach Komi A.S.S.R., czy "Samarłagru" — trzymała nas przy życiu nadzieja. Była czymś tak pewnym, że — wyśniła nam na jawie sen o wolności osobistej. Chcielibyśmy być wolni, by Krajowi wolność nieść. Jeszcze raz wypróbować swych sił, jeszcze raz światu pokazać, że nie jeden raz a tysiąc razy, jak Feniks, odradzać się będzie nasz Naród i dochodzić swych krzywd — oto co było i zostało naszym celem. Przez dwa lata byliśmy pozbawieni żywego słowa polskiego, przez dwa lata marzyliśmy o polskim słowie pisanym. Nie mogliśmy, nie chcieliśmy wierzyć, że w życiu naszej emigracji zastaniemy stare grzechy.

Najwięcej spodziewaliśmy się po naszej literaturze.

Myśleliśmy, że potęga polskiego słowa, poezji, wyjaśni, rozświetli mroki. Wskaże światu jakimy byliśmy. Tymczasem?

Tymczasem — znów omyłka. Pochłonąłem łapczywie możliwie wszystko, co przez te dwa lata wydała emigracja.

Obok prób nieśmiałych i obok rzeczy naprawdę wartościowych plenią się najgęściej — głupstwa. Jakieś szukanie po omacku, beztreściowość, te same błędy. A nad tym wszystkim króluje "towarzystwo wzajemnej adoracji" zgrupowane przy "*Wiadomościach Polskich*" czy "*Nowej Polsce*". Pan Nowakowski gładzi Pruszyńskiego, Pawlikowska Wittlina, Tuwim Słonimskiego, — wszyscy razem głośno, czy milcząc z "uznaniem", pomagają rosnąć panu Tuwimowi. Mam właśnie w ręku wrześniowy numer "*Nowej Polski*". Zatrzymuję się nad pięknym tytułem "Kwiaty Polskie". Pewnie i pan Tuwim przeszedł duże przeobrażenie — myślę . . . Może spróbował dać nam na prawdę coś polskiego. Tymczasem — znajduje czytelnik piękny tytuł, a w wierszu? W wierszu — proszę wybaczyć określenie — bzdura! Nic, kompletnie nic, jeno od początku do końca — straszliwa bzdura. I to mają być "Kwiaty Polskie"? Wszystko jest w tej próbie powieści poetyckiej — tylko nic polskiego. Bawi się pan Tuwim dalej prowadzaniem i przysparzaniem językowi polskiemu nowych słów — niepolskich. Są tam takie cacka:

> ". . . Kaszanki, blutwurszty,
> Jak zajadą w pełny słoik,
> To on zaraz pusty".

Piękne — co? Jest i nieodzowne:

> "Oj śledzie, pyklingi,
> Oj, wędzone ryby!
> Żebyście wy nóżki miały,
> Nie zostawiliby!"

Cała stronica cennego papieru pełna przysmaków w guście autora — z "bajgielkami" włącznie.

Opanował pan Tuwim język polski . . . i stworzył niestety swój własny, nie polski jednak, jeno żargon. Czy na prawdę tego nie czuje? Najbliższa zaś stronica pełna jest "cycek"! Już odnalazła to słowo muza pana Tuwima! I to się drukuje — dziś! (A tyle słyszę o ograniczeniach papieru na cele drukarskie . . .) Że pan Tuwim "cycki" widział — w to wątpić nie można, ale że nie widział "gracy" — to pewna, bo tak sobie pięknie zarymował:

> "Cycki u nich gumiaste, jaka graca:
> Jak nacisnąć, to wklęśnie, potem wraca.
> To sięgali, nagnietali: może strzeli?
> Z mlecznych czasów pamiętali.
> Pragnęli".

Oto niektóre tylko z pełnego kosza rodzynków panatuwimowych. Skarżył się kiedyś w Polsce pan Tuwim, że polski język jest bardzo ubogi, że brak mu rymów męskich, uciekał więc do rymów fonetycznych, tworzył sobie nowe słowa — których język polski przyjąć nie mógł — i pisa*l* a pisał. Ale tam — w Polsce — wszystko uchodziło. Można było pisać, co się komu chciało, bo przyzwyczailiśmy się traktować brednie lekceważąco. Ale tu? Ludzie łakną słowa polskiego, chcą się pokrzepić i orzeźwić jak u źródła, naładować akumulator wytrzymałości, zachować dumę ze swego języka, z twórczości polskiej. A tymczasem? Na kwietniej łące polskiej poezji rozpychają się pasożyty i rozsiewają bzdurę. Bezideowość, bezsens i głupstwo plenią się, zachwaszczając język polski, wprowadzając doń elementy nie-polskie. Jaki w tym cel?

Tak nie wolno! Czy taki dorobek emigracyjny mamy przywieźć kiedyś do Kraju? Można się bawić cudzym słowem, nawet sztukę rymowania opanować można, ducha jednak narodu i ducha jego języka przyswoić sobie trudno, jeżeli ducha tego nie ma się w sobie. Trudno . . . Dla pana Tuwima — jak dawniej tak i widocznie teraz — za trudno.

BRYZA

Somewhere in Great Britain.

Za dusze

ś. ✠ p.

KAZIMIERZA KOWALSKIEGO

adwokata, b. prezesa Zarządu Głównego Stronnictwa Narodowego, b. prezesa Zarządu Okręgowego Stronnictwa Narodowego w Łodzi — rozstrzelanego przez Niemców

i

ś. ✠ p.

STANISŁAWA GŁĄBIŃSKIEGO

profesora Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, b. prezesa Koła Polskiego w Wiedniu, b. Ministra Rządu R.P., b. prezesa Sejmowego Klubu Związku Ludowo-Narodowego, b. prezesa Senackiego Klubu Stronnictwa Narodowego, członka Komitetu Głównego S. Nar., prezesa Zarządu Okręgowego Stronnictwa Narodowego we Lwowie

— zmarłego w Rosji

odbędzie się dn. 4 grudnia 1942 r. w Kościele Polskim na Devonia Road o godz. 10 rano nabożeństwo żałobne, o czym zawiadamia

STRONNICTWO NARODOWE

TREŚĆ Nr. 37 *MYŚLI POLSKIEJ*

IN AETERNUM — Władysław Folkierski; PYTANIA EMIGRACJI I PRÓBA ODPOWIEDZI (II) — L. E.; POWRÓT POLSKI — Stanisław Kowalski; ŻYJEMY . . . W DEMOKRACJI — Al. Dem. NOTY I UWAGI: Francja wraca; Suwerenność i niepodległość; Głosy czeskie; Prawo i sprawiedliwość; Nowe pismo . . .; Taktyka żelaznego drąga; Jaki internacjonalizm?; Popełniłem błąd . . .; Trzynastu mężów stanu; Nasi zagranicą . . .; List Tadeusza Bieleckiego. Z PRASY I PUBLICYSTYKI: Sytuacja wewnętrznopolityczna w W. Brytanii; Anglia a Ameryka; Sprawa Darlana; KSIĄŻKA: System Obronny Odra-Wisła — Junius; Książka o propagandzie; LISTY DO REDAKCJI: "Kwiaty Polskie" — pdch. Bryza.

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Redakcja:

92, Eamont Court, Regents Park, London, N.W.8

Telephone - - PRImrose 4350

Prenumerata kwartalnie:
(6 numerów) - - - 6/- lub $2

Prenumerata półrocznie:
(12 numerów) - - 12/- lub $4

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, December 1, 1942.